



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zofia Bukorzycka

Zosia z Kobrynia

Nadszedł rok 1939 wrzesień, początek II wojny światowej. Ja miałam 9 lat i przeżywałam wraz z dorosłymi lęk o życie, te straszne bombardowania i najazd Niemców na Polskę. Nasz dom był wprawdzie na przedmieściu, ale w bardzo niebezpiecznym miejscu, bo niedaleko był dworzec kolejowy, w prawo od dworca jakiś kilometr była olbrzymia baza paliwowa, a z tyłu za naszymi polami lotnisko i wszystkie te obiekty były celem nalotów i bombardowań, a uciekać mogliśmy tylko na łąki, gdzie nie było można się za niczym skryć. Walki w naszych stronach były pod Brześciem i trwały kilka dni ale Polakom brakło amunicji i podjęli decyzję do poddania się do niewoli niemieckiej. Nadszedł 17 września i Niemcy ustalili pakt z Sowietami i wycofali się do Bugu a nasze tereny weszli Sowieci i zaczęła się nowa okupacja, a żołnierze polscy wzięci do niewoli na wschód od rzeki Bug zostali przekazani Sowietom, którzy nie wiedząc co z nimi zrobić trzymali ich w wagonach bydłowych na bocznicach. Wagony miały wejścia zamykane od zewnątrz i tylko cztery małe okienka po dwa z każdej strony u góry. Wagonów było 6 pełne Żołnierzy Polskich. Transport stał jak już wspominałam na bocznicach jakieś 300 metrów od naszego domu. My jako dzieci zaczęliśmy się interesować żołnierzami i nawiązywać z nimi kontakty. Żołnierze ci prosili nas „dzieci przynieście nam trochę wody” gdyż wrzesień 1939 roku był gorący a wagony nagrzane jak przysłowiowe piekarniki. Zorganizowaliśmy pomoc tym żołnierzom w taki sposób, że każdy z większych chłopców wziął jeden wagon pod swoją opiekę i tak długo nosił wodę, aż zaopatrzył w dostateczną ilość wody do picia i umycia się dla wszystkich w tym wagonie. Początkowo strażnicy pilnujący pociągu próbowali nas odganiać, ale w naszym gronie był chłopak o imieniu Żeńka, w prawdzie był trochę upośledzony na umyśle ale silny i duży, ale chciał się z nami bawić i nie odpędzaliśmy go od siebie, wręcz przeciwnie bawił się z nami i był bardzo przydatny do noszenia wody i innych ciężkich rzeczy. Jak nas strażnicy odganiali to on rzucił w nich kamieniami, że musieli się chować za wagonami i dali nam spokój. W pierwszych miesiącach okupacji sowieckiej ważne były pieniądze i żołnierze dawali nam pieniądze, żeby kupić im chleb lub coś do chleba. Na początku zorganizowałam to tak że ci chłopcy silniejsi co mieli opiekę nad wagonami każdy z nich wziął duży kosz taki od ziemniaków a ja wzięłam mały koszyk i zeszyt oraz ołówek i zapisywałam, co żołnierze z poszczególnego wagonu zamówili i ile dali pieniędzy i tak obsługiwaliśmy tych jeńców przynosiliśmy im żywność a ja rozliczałam się z pieniędzy. Tak zresztą ustalili starsi chłopcy, że oni zajmą się noszeniem produktów a ja podzielałam na poszczególne wagony i finansami, pozostałe dzieci z naszej grupy też pomagały jak umiały. Ja z całej grupy dzieci byłam najmniejsza ale wyróżniałam się jeszcze długimi warkoczami w kolorze złota, które sięgały mi poza

kolana i tym że umiałam wszystko zorganizować. Tak minął pierwszy miesiąc wojny i przyszedł październik i zrobiło się zimno a żołnierzom brakło już pieniędzy na zakup żywności. Po radzie a brały udział wszystkie dzieci uzgodniłyśmy że raz w tygodniu każda mama będzie gotować kocioł zupy na jeden wagon. Dzieci było dużo i tak żołnierze dostawali zupę, jeden kocioł na każdy wagon dziennie. Ja nie pamiętam aby jeńcy dostawali cokolwiek do jedzenia od strażników, może wieczorem bo za dnia myśmy biegali wokół wagonów i nie zauważyłam aby żołnierze dostawali jedzenie. Im bliżej zimy w wagonach było coraz zimniej i żołnierze zaczęli chorować i znowu podjęliśmy decyzję wspólnie że pomagamy dalej tym żołnierzom. Decyzja była taka że każdy chłopak opiekujący się wagonem miał przynieść pilę lub siekierę z domu a młodsze dzieci dostarczały drzewo z pobliskiego tartaczego placu, który był przy samych torach blisko wagonów. Mówiłam, deski są polskie i żołnierze też i wszystko im się należy więc ciągnęliśmy te deski i wciskaliśmy je w te małe okienka w wagonach a tam żołnierze cieli je pilami, rąbali i palili w piecykach zwanymi żelaznikami. Minął październik nadszedł listopad i zrobiło się bardzo zimno a my w dalszym ciągu dostarczaliśmy jedzenie naszym żołnierzom gdyż strażnicy tolerowali jeszcze dzieci bo dorosłym nie wolno było przebywać w pobliżu wagonów. Dorosli dostarczali kotły z zupą a my dzieci nalewałyśmy w menażki, które były spuszczone z tych małych okienek. Z naszego domu zupę nosiła moja mama i starsza 15 letnia siostra Marysia. Ja wciąż myślałam jak by tu jeszcze pomóc żołnierzom i wymyśliłam żeby tata porozmawiał z okolicznymi sąsiadami, aby każdy wziął grupę żołnierzy do siebie po 10 osób na noc, by mogli chociaż umyć się, posilić i odpocząć w ciepłe. Było to bardzo ryzykowne, bo nie było odwážnego aby poszedł do komendanta strażników i z nim porozmawiał na ten temat. Porozmawiałam o tym z moim ojcem a on poszedł do tego kapitana i powiedział po co do niego przyszedł. Kapitan popatrzył na ojca i powiedział, że „ty ocień odwážny Polak jak który ucieknie to ty i twoja cała rodzina pójdziecie na Sybir”. Tata tłumaczył, że żaden nie ucieknie, bo teraz oni są na prawach jeńca a jak uciekną to będą przestępcami i żaden nie śmie narażać tych ludzi co będą brali ich do siebie. Kapitan wyraził zgodę i wszystkie okoliczne rodziny brały do siebie żołnierzy tak jak było uzgodnione po 10 ludzi. Pamiętam mama grzała wodę oni się myli, gotowała im coś do jedzenia na gorąco i tak to trwało do połowy grudnia. W ostatniej grupie która była w naszym domu był młody lotnik w szarym mundurze, poprosił mnie abym usiadła koło niego i zadał mi takie pytanie, skąd Zosieńko u ciebie taki zmysł organizacyjny? My wszyscy podziwiamy ciebie i te dzieci które razem z tobą nami się opiekują, doceniamy to co robicie dla nas ale musimy się pożegnać bo już niedługo wywiozą nas w głąb Rosji. Ja natomiast powiedziałam że jak ich wywiozą to, kto będzie naszej Polski bronił. Młody lotnik podniósł dwa palce i złożył przysięgę, że jak będzie żył to zawsze będzie bronił Polski i wolności. Żołnierzy wywieźli i nie wiedziałam co się z nimi stało przez 45 lat. W roku 1984 było spotkanie w instytucie w którym pracowałam z kombatantem, który brał udział w bitwie pod Monte Cassino, poszłam na to spotkanie. Starszy człowiek mówił o ostatniej bitwie 1939 roku pod Brześciem, o tym jak wzięto ich do niewoli bo nie mieli już amunicji i opowiadał też o tym jak Niemcy przekazali cały transport Rosjanom,, którzy przetrzymywali ich na terenie Białorusi a potem wywieźli ich w głąb Rosji, opowiadał o tym jak Generał Sikorski zabrał ich na Bliski Wschód przez Pakistan i jak zostali wcieleni do jednostek biorących udział w bitwie pod Monte Cassino. Opisywał całą bitwę i zwycięstwo a ja słuchałam jak urzeczona i pomyślałam że mógłby być to jeden z tych żołnierzy wziętych do niewoli pod Brześciem i że my dzieci polskie ratowaliśmy ich. Po całym spotkaniu podeszłam do niego i zapytałam się czy jest z tego transportu, który stał w Kobryniu i jak dzieci ratowały ich i opiekowały się nimi. Starszy człowiek osłupiał ze zdziwienia, skąd ja to wiem, przecież on o tym nie opowiadał. Zapytałam go czy pamięta małą dziewczynkę ze złotymi warkoczami a on powiedział że jej nie zapomni do końca swoich dni a ja powiedziałam że, to ja jestem tą małą dziewczynką która tam rządziła a on się rozplakał z radości że mnie spotkał i zaczęliśmy się witać jak najbliższa rodzina. Pani Dyrektor i Siostra Przełożona i pozostali uczestnicy tego spotkania pytali się skąd my się znamy. Starszy człowiek zaczął tłumaczyć skąd, że polskie dzieci i ich rodziny ratowały polskich żołnierzy. Mówił jak to mała dziewczynka rządziła wśród dzieci i starszych chłopców i oni wszyscy jej słuchali. Opowiadał o całej tej pomocy tych dzieci a Siostra Przełożona natomiast uśmiechając się powiedziała, że to do siostry Zosi podobne. Wniosek z tego taki, że cieszyliśmy się z tego spotkania i z tego że uratowani żołnierze dali Niemcom łupnia pod Monte Cassino i na wielu innych frontach tej wojny. Młody lotnik, który mi przysięgał, że będzie bronił wolności pewnie jej bronił nad Londynem tak myślę. Koniec roku 1940 i początek 1941 wiąże się z ciężkim dla mnie przeżyciem, zaczęło się ciężka chorobą, związaną z zapaleniem ucha środkowego a później kość słuchowa zaczęła się psuć i w głowie zbierało się coraz więcej ropy, która rozsadziła kości czaszki. Ból głowy był niesamowity a głowa robiła się coraz większa i w końcowej fazie obwód głowy miałam taki jak górna część wiadra. W Kobryniu nie było specjalisty od takich operacji, więc ojciec postanowił zawieść mnie do Brześcia może tam będą mogli mi pomóc. Lekarz po zbadaniu i prześwietleniu mi głowy nie dawał wielkich nadziei na uratowanie mojego życia Mama natomiast natchniona nadzieją powiedziała że lekarze jeżeli zechcą to wszystko mogą. Lekarze zdecydowali przeprowadzić operację a ten Najwyższy zdecydował że mam żyć. Leżąc na stole pomyślałam że nie byłam u I komunii i mogę

umrzeć, więc poprosiłam lekarza aby pozwolił mi się jeszcze przed operacją pomodlić bo mogę mu umrzeć na stole gdyż zdawałam sobie sprawę jak ciężko jestem chora. Lekarz był Żydem, ale pielęgniarki które mu asystowały przy tej operacji były siostrami zakonnymi, one myślały że ja już umrę bo obie miały maseczki mokre pod oczami. Pomodliłam się na stole operacyjnym i spokojnie położyłam się aby mnie przywiązano i podano narkozę Lekarz nie spodziewał się tak wspaniałego rezultatu operacji, ponieważ zaraz po operacji jak przekładano mnie z wózka na łóżko odzyskałam przytomność. Głowa była pełna ropy ale ciecz ta wciąż schodziła, zielona cuchnąca i co najdziwniejsze nie było uszkodzenia mózgu ani żadnych innych porażań poza osłabionymi mięśniami szyi, które nie trwały długo bo ja próbowałam wstawać i je ćwiczyć. Jedynym moim zmartwieniem było to co ja będę robić w łóżku, ponieważ jako dziecko byłam bardzo czynna pomagałam mojej mamie sprzątać, czytałam, zawsze znalazłam jakieś sobie zajęcie, a w szpitalu pierwsze dni po operacji musiałam leżeć toteż wymyśliłam sobie zajęcie, że wszystkie bandaże jakie były prane musiały być zwijane to sobie załatwiłam, że będą przynoszone do mnie a ja siedząc w łóżku będę je zwijała i to trwało do mojego wstania z łóżka. Tu muszę nadmienić jeszcze jeden fakt, że tuż po operacji do szpitala przyjechał mój tato i pytał się co ze mną czy żyję. Lekarz operujący mnie odpowiedział mojemu ojcu, że zrobił w czasie operacji to co musiał, ale co wyszło, że ja nie mam żadnych porażań, nie było ropowicy mózgu, ani zakażenia ani gorączki to już nie jego zasługa, tylko waszego Boga i opowiedział, że ja przed operacją się modliłam, a on jest Żydem i w naszego Boga nie wierzy ale to co zobaczył to zasługa waszego Boga i, że On jest potężny a to dziecko ma u Niego łaskę. Żyłam i miałam się coraz lepiej, badali mnie różni lekarze profesorowie i docenci i każdy twierdził pełny sukces żadnych porażań. Jak zaczęłam chodzić to znalazłam sobie pracę, szpital był tylko dla dorosłych z jedną salą dla dzieci. Sale były duże po 5 łóżek z jednej i drugiej strony oraz duże okno naprzeciw wejścia. Tam właściwie rozpoczęłam pracę „pielęgniarki” w tym słowa znaczeniu że wchodziłam na taką salę i chodziłam od łóżka do łóżka i pytałam się każdego chorego co mu potrzeba. Jednemu przyniosłam pić drugiemu podałam basen lub kaczkę, jak chory był nieprzytomny to przyniosłam wodę i umyłam mu buzię, ręce, a jak nic nie potrzebował to usiadłam i porozmawiałam z nim. Jak już wszystkich obsługiwałam to siadałam na oknie aby wszyscy mnie widzieli i opowiadałam różne historie nieraz to były bajki a nieraz z życia wzięte. Dla mnie jako dziecka to rozumiałam, że tym ludziom się nudzi i w ten sposób chciałam ich zająć żeby nie myśleli o chorobie, po prostu chciałam ich zabawić. Tak się jakoś ułożyło między mną a chorymi że po każdej wizycie dostawałam coś od nich, a to cukierek a to ciastko a to jakiś owoc, wszystko brałam w połę od szlafroka, nawet jak któryś z chorych był nieprzytomny to za niego inni chorzy dawali mi coś. Pewnego razu chorzy zapytali się co ja robie z tymi smakołykami co dostaję od nich a ja im odpowiedziałam że na oddziale jest sala dziecięca taka sama jak ich i jest pełna dzieci i ja się z nimi dzielę dostaję po jednej rzeczy ode mnie. Tak się dzieci przyzwyczaiły, że zawsze jeden stał na czacie przy drzwiach i wyglądał czy idę. Jak mnie zobaczył to powiadomił pozostałe że idę i one czekały przy swoich łóżkach bo tak się umówiliśmy, że mają być przy łóżkach, bo jak by się zgromadzili wokół mnie to jednemu dała bym dwa razy a drugiemu nic. Na swoim łóżku też położyłam coś i później wszyscy zjadaliśmy te smakołyki razem. Ja poszłam dalej do następnej sali i tak chodziłam cały dzień. Po tej operacji straciłam moje złote warkoczki bo mi nie odrosły tak piękne tylko moje włosy stały się ciemnoblond i dużo słabsze. Zaczęły się rządy Sowietów i nowa 5-latkka, w której miały być spełnione plany wymyślone przez Ruskich. Wykonać je mieli ludzi zegnani siłą na miejsce robót, bez zapłaty bez jakichkolwiek warunków bytowania ani wyżywienia sami musieli je sobie zapewnić. Prace były różne przy naprawie torów kolejowych lub przy kopaniu kanału łączącego rzeki Dniepr i Bug tzw. Kanał Dniepro-Buski lub też przy wycinaniu lasu na drwa do parowozów. Mojego ojca zabrano do naprawy torów kolejowych, około 30 kilometrów od Kobrynia. Mama została sama z czwórką dzieci moja najstarsza siostra 16letnia Marysia też została gdzieś zatrudniona bez żadnej zapłaty a żyć trzeba było. Na to wszystko rozchorowała się moja mama miała bardzo silne bóle że krzyczała i zwijała się. A ja dziesięcioletnia dziewczynka musiałam zająć się młodszymi siostrami 6-letnią Stenią i 4-letnią Janeczką. Chodziłam wokół domu i płakałam bo nie wiedziałam co robić. Ktoś mi powiedział, że kolej skręca w lewo od Kobrynia i jakby iść na przełaj od naszego domu na północny-wschód to można by dojść do torów na których pracowali robotnicy a wśród nich mój ojciec. Łatwo powiedzieć iść na przełaj jak za naszym polem były łąki następnie trzeba by było przejść mokradła które ciągnęły się aż do lasu a za lasem już były tory. Zdecydowałam się iść, łąki przeszłam zaczęły się mokradła pełne wody tylko poprzetykane kępami traw wielkości koła od wozu, które bujały się po wskoczeniu na nie. Odległość między kępami dochodziła momentami do 1,5 metra a tak nie przekraczała 1 metra. Mimo to postanowiłam iść dalej, nie zastanawiałam się, że mogę nie przejść tych mokradeł. Skakałam z kępy na kępę kilka godzin a trawa porastająca te kępy kaleczyła mi nogi na dodatek w mokradłach żyły pijawki które też czepiały się moich nóg, więc co kilka skoków musiałam je odczepiać a nogi ociekały mi krwią. Około południa dotarłam do lasu w lesie następne przeszkody typu gąszcz krzewów, jeżyny, wykroty które znów kaleczyły mi nogi. Dobrze że był słoneczny dzień to kierowałam się na północny – wschód według słońca, które oświetlało mi prawy bok, bo bez słońca to mogłabym w lesie zabłądzić i nigdy nie

wyjsć. Przez las szłam około dwóch godzin aż wyszłam na pole, szłam bruzdą przez szerokie zagony żyta rosnącego pod lasem. Wychodząc z żyta zobaczyłam wilka wyczołgującego się z sąsiedniej bruzdy, który zmierzał do stada owiec pasących się na łące. Na drugim krańcu rozległej łąki siedzieli chłopcy z psami pasący owe owce. Ja cofnęłam się z powrotem w żyto i odczekałam aż wilk się oddali od mnie. Po pewnym czasie zaczęłam krzyczeć do chłopców pokazując na wilka, pastuchy wraz z psami pogonili wilka do lasu. Najstarszy z nich może 15-latek pyta się mnie co ja tutaj robię i z skąd idę. Opowiedziałam mu że idę z Kobrynia do taty, który pracuje na kolei. Zdziwieni byli bardzo w jaki sposób przeszłam bagna i las, w bagnach mogłam się utopić a w lesie mogły mnie zagryźć wilki. Widocznie miałam przejść i dotrzeć do ojca. Ten najstarszy z chłopców odprowadził mnie do drogi, która wiodła prosto do kolei na której pracowali robotnicy. Mój ojciec widząc mnie przeraził się i zdumiał jak ja mogłam dotrzeć taki szmat drogi i co się w domu stało. Opowiedziałam co się z mamą dzieje, że trzeci dzień jęczy z bólu i nie wiemy co robić. Brygadzysta zwolnił tatę z roboty i wróciliśmy do miasta pociągiem towarowym, który zwolnił z powodu robót i tak dotarliśmy na dworzec. Od dworca nie miałam już siły iść więc ojciec wziął mnie na tzw. barana i dotarliśmy do domu. Ojciec wezwał lekarza do mamy i okazało się że mamie kamień uwiązał w przewodzie moczowym i przy pomocy lekarza i leków oraz zastrzyków zszedł do pęcherza i mama go jak się to mówi urodziła. Takim sposobem i moją decyzją szukania ratunku ocalałam mamę a i tata dostał bliżej pracę i mógł nocować w domu i mieć opiekę nad chorą żoną i nad nami. Po wyzdrowieniu mamy mogłam się znów bawić z dziećmi bo beze mnie nie bardzo umieli organizować sobie zabawę. Pamiętam w naszej grupie była mała żydówka, która też chciała się bawić z nami a na imię miała Ryfka, ale chłopcy nie chcieli się z nią bawić więc ona stała i płakała bo jak każde dziecko chciała się bawić. Szkoda mi jej było i postanowiłam, że jeżeli może się bawić z nami chłopiec o imieniu Żeńka który był nie bardzo mądry to może i mała Ryfka. Postawiłam warunek, że kto chce się bawić z nami to musi się zgodzić a jeżeli nie to ich wybór. Chłopaki po naradzie zgodzili się gdyż wiedzieli że oni nie umieją wymyślić żadnej zabawy i nie było już prześladowania że ona jest żydówka i Ryfka bawiła się z nami. Któregoś dnia Ryfka zaprosiła mnie do swojego domu a rodzice dziękowali mi, że pozwoliłam bawić się jej z nami i mówili mi jeszcze że córka jest bardzo szczęśliwa z tego powodu. Rodzice jej to byli bardzo mili i uprzejmi ludzie. Tata jej był szwecem a mama gospodynią domową która prowadziła dom. Tego lata cała nasza gromada dzieci miała jeszcze jedno zajęcie opiekę nad małym pisklciem kawki, które wypadło z gniazda. Mała kawka była nie opierzona, którą znalazłam pod drzewem koło kościoła, podniosłam ją i przyniosłam do domu. Moja mama tłumaczyła mi że takie maleństwo się nie uchowa ponieważ jak je karmić, chleba ani kaszy jeść nie będzie, jej potrzebne są robaki. Ja mamie tłumaczyłam że się nią zaopiekuję dała się przekonać, dała mi pudełko po butach, które wymościłam miękkimi szmatkami i miała gniazdo. Z karmieniem też sobie poradziłam w ten sposób że jak ktoreś z dzieciaków chciało ją nakarmić to musiał przynieść dżdżownicę lub jakiegoś pędraka i dopiero mógł ją nakarmić. Dzieciaki mocno musiały się natrudzić aby móc ją nakarmić gdyż kawka potrzebowała coraz więcej pożywienia oczywiście ja też się trudziłam jak chciałam mieć ją w domu. Moja kawka przeżyła i rosła w oczach, dostała piękne czarne upierzenie i była większa od kawek żyjących na wolności. Dostała nawet swoje imię Zośka bo ja byłam Zosia a ona wychowywała się u mnie. Ale tu powstał następny problem mama powiedziała, że wychować ją to wychowałam ale jak nauczę ją latać ale ja i z tym sobie poradziłam brałam kawkę na łąkę i rzucałam do góry a ptak trzepocąc skrzydłami opadał na dół normalnie to rodzice pokazują dzieciom jak należy latać a w tym przypadku to moja kawka brała mnie za swoją mamę, więc to ja musiałam ją nauczyć sztuki latania. Nie pamiętam jak to długo trwało ale po jakimś czasie Zośka zaczęła fruwać, poza tym że nauczyłam ją latać to moja kawka faktycznie brała mnie za swoją mamę i bawiła się ze mną. Jedną z jej ulubionych zabaw było siadanie mi na ramieniu i wsadzanie głowy pod moja brodę i obracanie nią, wszyscy dziwili się widząc taki obrazek że dziki ptak może się tak bawić. Inną zabawą kawki było „czesanie” moich włosów, robiła to przeważnie rano jak już umiała latać przylatywała do mnie przez otwarty lufcik siadała na poduszce brała w dziób moje długie jasne włosy i szła po pierzynie w kierunku nóg trzymając je w dziobie przy okazji robiła dużo hałasu. Mama ją wyganiała i mówiła że pościel pobrudzi, a ona i tak przylatywała rano i zabawa zaczynała się od początku. Jak byłam poza domem i widziałam kawki to wołałam „Zośka, Zośka” jak była w pobliżu to zawsze przyleciała i usiadła mi na ramieniu wsadzając głowę pod moja brodę. Miałam tylko jeden kłopot z moja kawką, bo w całej okolicy nie było dziewczynki ze złotymi włosami a przynajmniej nie powinno być, bo „Zośka” coś sobie w tej ptasiej głowie umyśliła, że wszystkie złote włosy należą do mnie i w okolicy znalazła małą dziewczynkę może czteroletnią też ze złotymi włosami, jak ją widziała to siadała jej na głowie i darła złote loki bo dziecko miało kręcone włosy. Dziewczynka miała uraz do kawek jak zobaczyła jakąś kawkę to osłaniała rączkami główkę a mama jej po prostu zakładała chustkę na głowę żeby moja „Zośka” jej nie atakowała i żeby dziecko mogło się bawić na dworze. W roku 1940 wszystkie dzieci miały obowiązek chodzenia do ruskiej szkoły, poszłam i ja. Miałam trudności z używaniem języka rosyjskiego bo dotychczasowym językiem w szkole używany był język polski. Był nakaz i nie było odwołania musiałam się uczyć tego języka, choć go nie cierpiałam. Był też jeszcze inny powód niechęci chodzenia

do tej właśnie szkoły, a był nim jeden chłopiec, który dokuczał dzieciom a w szczególności mnie. Chodził do naszej klasy i nazywał się Aleksander Wodzianicki zwany przez wszystkich Szurą. Jak już wspomniałam ten chłopak lubił dokuczać dzieciom a szczególnie upodobał sobie właśnie mnie, że przy każdej okazji ciągnął mnie za moje długie warkocze. To wszystko stawało się uciążliwe do tego stopnia że przestałam wychodzić na przerwy. Pewnego dnia chciał mnie zmobilizować do wyjścia z klasy żeby móc mi podokuczać więc usiadł w mojej ławce i zaczął mnie z niej wypychać, w tym momencie cierpliwość moja się wyczerpała nerwy mnie tak poniosły, że nie wytrzymałam i chwyciłam go za włosy i zaczęłam bić jego twarzą o ławkę. Możecie sobie wyobrazić co się działo, dzieci krzychały, on krzychał ale zaparty w ławce nie mógł się uwolnić z mojego uścisku. Przybiegła nauczycielka, przybiegł dyrektor i nas rozdzielono nauczycielka nakrzychała na mnie co ja zrobiłam, że mnie ze szkoły wyrzucą, a ja odpowiedziałam że sama odejdę z takiej szkoły gdzie taki łobuziak dokucza dzieciom i nie ma na to żadnej rady ani kary i dodałam jeszcze że jak się zbliży do mnie to mu jeszcze raz tak samo dołożę. Tak skończyła się moja edukacja w szkole rosyjskiej. Niedługo po tym incydencie na naszą ulicę sprowadzili się nowi sąsiedzi była to rodzina Wodzianickich, małżeństwo z dwójką synów jeden był w moim wieku Mikołaj a drugi o rok młodszy Aleksander ten sam który mi dokuczał. Byli to chłopcy o różnych charakterach Mikołaj był bardzo grzeczny, subtelny i od razu się z nim zaprzyjaźniłam, zaś Aleksander mimo że był młodszy był niezwykle silny i zaczepny i skory do rozrób. Mikołaj którego nazywaliśmy Kolą od samego początku był w naszej gromadce dzieci bardzo lubiany, natomiast Szura boczył się na mnie i omijał z daleka. Któregoś dnia Kola zapytał się mnie co się dzieje z Szurą, że jak mnie widzi to mnie omija z daleka i boczy się na mnie. A ja zapytałam się Koli czy jego brat mu powiedział o pewnym zdarzeniu w szkole i czy kiedyś nie przyszedł ze szkoły z poobijaną buzią. Kola przyznał że miało miejsce takie zdarzenie i że raz Szura przyszedł poobijany ale się nie przyznał kto mu to zrobił i za co. Kola był zdziwiony skąd ja to wiem, więc mu się przyznałam że to moja zasługa i za co ode mnie oberwał. Rodzice chłopców byli to bardzo przyzwoici i mili ludzie, toteż nasi rodzice bardzo szybko się zaprzyjaźnili. W tym samym domu co rodzina Wodzianickich mieszkali dwie rodziny Janiszewscy Adolf i Maria z córką Irenką dziewczynką w moim wieku która należała do naszej gromadki oraz rodzina Bińkowskich Stanisław, Maria, Wiktoria i starsza pani czyli babcia. Pamiętam wypadek w rodzinie Bińkowskich, pewnego razu p. Wiktoria nalewała płyn benzol do lampy naftowej gdy brakowało nafty, a robiła to nieostrożnie bo przy palącej się lampie. Opary benzolu i sam benzol w butelce się zapalił i rozsadziło butelkę, palący płyn rozlał się na kobietę która stanęła w ogniu. Pożar ugaszono, ale p. Wiktoria z ciężkimi poparzeniami ciała zabrano do szpitala. Leczenie trwało długo a stan pacjentki nie poprawiał się i był bardzo ciężki nie rokował nadziei na wyleczenie, więc chorą zabrano do domu. W tym czasie szukano wszędzie ratunku słuchano różnych rad jedna z nich trafiła jak się to mówi w przysłowiu dziesiątkę, ktoś poradził nie pamiętam już kto żeby chorej robić okłady z wapiennej wody z olejem lnianym pół na pół. Do okładów powinny być używane tylko szmatki lniane i o dziwo poparzona skóra zaczęła się goić, ropne rany przestały cuchnąć ropą i powoli zaczęły się zablizniać. Okłady zmieniano często a to powodowało że młoda skóra nie zdzierała się z okładami. Późniejsza moja praktyka na oddziale dermatologicznym potwierdziła, że metoda ta uratowała chorej życie, bo my również używaliśmy szmatek lnianych do takich rozległych ran po oparzeniach oraz zmienialiśmy je co godzinę i rany gojone były na mokro. Co do wody wapiennej to uzyskiwano ją w ten sposób że do wiadra wkładano 1/3 pojemności wapna gaszonego i zalewano do pełna wodą, wymieszano dokładnie i to wszystko stało około 12 godzin aż woda była czysta, następnie zlewano tę czystą wodę do innego czystego naczynia i mieszano w proporcji 1: 1 z olejem lnianym uzyskiwano w ten sposób mieszaninę o konsystencji emulsji, która to działała prawdopodobnie odkazająco (wapno) i gojąca (olej). Ja jako dziecko wszystko podpatrywałam i dziś jako dyplomowana pielęgniarka z długoletnią praktyką mogę śmiało powiedzieć, że ten sposób dał efekt w postaci wyleczenia chorej na tyle skuteczny, że nie było żadnych blizn po oparzeniowych ani na rękach ani na twarzy. W naszym dziecięcym gronie bawiliśmy się różnie, ale przeważnie w domu – rodzinie. Ktoś był ojcem ktoś był matką były też dzieci i dalsza rodzina, a czasami tylko mąż i żona. Mąż szedł do pracy a żona gotowała obiad, sprzątała ot takie zwyczajne życie rodzinne życie. Po jakimś czasie do naszego grona dołączył Aleksander czyli Szura tak ten sam co mi dokuczał zrozumiał swój błąd i chciał się z nami bawić więc przeprosił mnie a ja przeprosiny przyjął i był w naszej paczce. Bawiliśmy się w dwie pary małżeńskie: Kola i ja oraz Szura i Irenka Janiszewska. Po prawie 60 latach będąc na wycieczce w Kobryniu spotkałam się z Mikołajem czyli z Kolą jak myśmy się witali a on mówił moja dziecinna żona przedstawił mi swoją całą rodzinę a ja mu przedstawiłam swojego męża bo byliśmy razem. Nie ma już mojego dziecięcego przyjaciela bo odszedł zostawiając ukochaną żonę Ninę oraz dzieci córkę Walentynę i syna Waleriana wraz z rodzinami oraz nas przyjaciół z Polski. Jeżeli piszę o tych dobrych sąsiadach to muszę wspomnieć o tych delikatnie mówiąc mniej dobrych. Między nami a Bińkowskimi mieszkał sąsiad o nazwisku Semczuk ale wszyscy go nazywali „Pidul” mieszkał w domu przy samej ulicy. Domy nasz i Bińkowskich były cofnięte od ulicy o około 100 m po prostu taki wymóg p. pożarowy z resztą tak budowano domy w tak zwanego mijanego w przedwojennej Polsce. W obecnej chwili będąc w Kobryniu za rządów Sowietów

zmieniono system i domy stoją w ścisłej zabudowie po prostu jeden przy drugim, że w razie pożaru to cała ulica pójdzie z dymem. Ale wracając do naszego niezbyt lubianego sąsiada my dzieci a i dorośli chodziliśmy na przelaj wydeptując ścieżkę po polu tak że ona nigdy nie przestała być dróżką wiejską. Z tego powodu były scysje z Pidulem o tę ścieżkę. Rodzina ta składała się z 6 osób; małżeństwa z dwójką małych dzieci i prawie dorosłego syna w wieku 17 lat o imieniu Zosym oraz dziadka około 70 lat (takie pokraczne indywiduum) zezowaty z krzywym kręgosłupem a do tego złośliwy. Zresztą cała rodzina nie była lubiana, gdyż nie wiadomo było z czego oni żyli ale powoli wydało się z czego po prostu donosili na swoich sąsiadów oraz rozpowiadali po wsi że są okradani. Zięc Pidula to taki drobny złodziejasek kradł wszystko co mu w ręce wpadło nawet zboże w snopkach z pola a sam opowiadał jak to jemu ginie zboże z pola, więc sąsiedzi zaczęli się na złodzieja i przyłapali właśnie jego na kradzieży. Stary Pidul zaś hodował kury a w szczególności tresował koguta który by był bitny i nie dał innemu kogutowi przyjść do jego kur. Tak się złożyło że ten tresowany kogut przyszedł do naszych kur i nasz kogut choć nie tresowany bronił swojego stada podziobał tamtego i go mocno oszpecił i obdarł z piór, że tamten musiał uciekać. Stary Pidul widząc jak wygląda jego kogut chciał się zemścić i poszedł ze skargą do N.K.W.D. i doniósł na mojego tatę, że jest wrogiem Sowieckiego Sojuza, bo chce Anglii, Francji i Ameryki. Ojciec mój dostał wezwanie więc poszedł na nie zabierając ze sobą dokumenty świadczące o tym że przed wojną należał do Partii „Wyzwolenie” był to odłam PSL i zabrał też medal na którym widniał chłop orzący w woły. Komendant NKWD na wstępie powiada że co „Polak nie podoba się Sowiecki Sojuz, że chcesz Anglii, Francji i Ameryki”. Ojciec mój odpowiedział, że jak by chciał to jednego a nie trzy naraz, pokazał mu dokumenty i medal i powiedział że przed wojną walczył o wyzwolenie (tylko nie powiedział o czyje, bo ta partia działała już za zaborów) Komendant zrozumiał to tak że mój ojciec walczył o wyzwolenie spod jarzma panów więc o nic więcej już go nie pytał tylko powiedział „ale ty majesz susieda” czyli sąsiada. Ojciec wtedy zrozumiał kto na niego doniósł więc zapytał się taki stary, zezowaty, krzywy komendant potwierdził, więc mój ojciec opowiedział mu o kogucie sąsiada że został podziobany przez naszego bo ten przyszedł do naszych kur. Major wściekł się że stary chce załatwić swoje sprawy naszymi rękoma czyli NKWD i powiedział do mojego ojca „idi damoj” czyli idź do domu ja mu dam pietucha (czyli koguta) jak przyjdzie do mnie jeszcze raz. Ojciec wrócił do domu nie został zatrzymany i nie wywieziono nas na Sybir bo za byle donos wywożono. Oczywiście stary Pidul zobaczywszy ojca chodzącego wolno poszedł jeszcze raz z donosem na mojego tatę a tam jemu dano to co się należało, że dziadek kurował się chyba z miesiąc po tej wizycie. Oczywiście po tym wszystkim opowiadał każdemu że Gładki współpracuje – kolaboruje z NKWD po prostu szkalował mojego ojca, ten kto dobrze znał mojego tatę po prostu w te brednie nie uwierzył, ale cały czas trzeba było się mieć na baczności. Z naszymi sąsiadami pamiętam jeszcze jedno wspomnienie, w domu p. Bińkowskich mieszkali p. Janiszewscy Maria i Adolf. Pan Adolf miał brata Antoniego w Gdańsku, który ożenił się z żydówką ona zaś przyjęła wiarę chrześcijańską była kobietą bardzo ładną więc postanowił ją ratować przed Niemcami wiadomo co Niemcy robili z Żydami, więc przywiózł ją do Kobrynia i sam pozostał razem z nią zmieniał pracę bo przedtem był marynarzem. Wynajęli małe mieszkanie i sądzili że się ocala, z chwilą wkroczenia Niemców w 1941 roku do Kobrynia ktoś ich zadenuncjował do gestapo (prawdopodobnie usłużny sąsiad), młodych aresztowano i torturowano i pytano ich kto ich ukrywał. Młodzi mimo wymyślnych tortur nikogo nie zdradzili, Antka mniej torturowano jego żona zaś była bardziej torturowana miała połamane ręce i nogi, była wieszana za nogi do sufitu a wilczury niemieckie szarpały ją żywcem dzielnie to zniosła i nie wydała nikogo. Niemcy nie osiągnąwszy zamierzonego celu obydwójce wraz z innymi więźniami postanowili ich rozstrzelać. Ją wrzucili na ciężarówkę jak worek kartofli a on że nie był połamany to sam wszedł i tak rozpoczęła się ich ostatnia wyprawa by się droga, ale nie dla Antka, po wjechaniu ciężarówki w las Antek wyskoczył z samochodu i zaczął uciekać co sił mimo że Niemcy strzelali za nim wiedział że żonie nie może pomóc ale może ją pomścić. Przeszedł do swego brata Adolfa i poprosił o schronienie opowiedział mu wszystko, ten przyszedł do mojego ojca mówiąc „sąsiad poratuj bo u mnie niedługo będzie Gestapo gdyż Antek uciekł z rozstrzelania i przyszedł do mnie a ja nie mogę go zatrzymać więc daj mu schronienie choć na tydzień a potem się zobaczy może pójdzie do partyzantki”. Ojciec mój przyjął Antka pod swój dach i zrobił mu prowizoryczne schronienie za piecem i tak tydzień zamieniło się w pół roku pobytu u nas bo do partyzantki nie tak łatwo było się dostać. Cały okres pobytu Antka u nas to ciągle obawa o to że ktoś go może wypatrzeć i donieść Niemcom, więc okna były pozamykane i zasłonięte a jak ktoś obcy przychodził do nas czy do miary do mojego taty to Antek się chował w schowku za piecem było tam nie wygodnie i gorąco. Antek był młodym człowiekiem około 30 lat, miał blond kręcone włosy i wszyscy traktowaliśmy go jak brata wychodził czasami na powietrze zawsze nocami bo w dzień to wszyscy się baliśmy żeby nikt go nie wypatrzył a w szczególności nas usłużny sąsiad Pidul. Każdego dnia drżeliśmy o życie nasze i tego młodego człowieka, pewnego razu przeżyliśmy chwile grozy ojciec mój siedział przy maszynie a Antek i cała nasza rodzina siedzimy razem z tatą i widzimy drogą idzie dwóch SS-manów i ukraiński policjant. W domu nie było tylko najstarszej mojej siostry Marysi Antek szybko schował się w kryjówce ja i moje młodsze siostry siedziałyśmy na kanapie

przysuniętej do pieca przytulone do siebie moja mama uklękła przed obrazem i zaczęła się modlić na głos, bo każdy z nas wiedział że nadeszła ostatnia godzina że ktoś doniósł. Niemcy weszli do domu i jak to było w ich zwyczaju stanęli po obu stronach drzwi a policjant podszedł do mojego ojca i pyta się (dziadzia) czyli wujek Gładki co się stało, że dzieci płaczą a p. Małgorzata się modli i gdzie jest Marysia. Ojciec struchlały przy maszynie nie poznał w tym policjancie znajomego chłopaka Siergieja byłego komunistę. On szarpał ojca i wciąż dopytywał się o Marysię, ojciec dopiero go poznał i zapytał się czy przyszedł z Niemcami nas rozstrzelać a Siergiej zdziwiony odpowiedział co wy mówicie a mój tata się zapytał to po co przyszedłeś z tymi dwoma a Siergiej odpowiedział że p. Małgorzata hoduje kury a oni chcieli kupić jajka i dodał jeszcze że jak by mieli rozkaz nas rozstrzelać to on by pierwszy zrobił z nimi porządek niż nam dał zrobić krzywdę. Po tych słowach których Niemcy w ogóle nie rozumieli ojciec mój zapytał się co on robi z nimi i w ogóle a Siergiej odpowiedział że dużo by opowiadać ale pogadamy po wojnie. Ojciec mój powiedział żeby więcej nie przyprowadzał ich po nic a do mamy powiedział szturchając ja w plecy że oni chcą kupić jajek wtedy mama oprzytomniała Niemcy dobrze zapłacili i poszli sobie. W tym momencie wszyscy zdaliśmy sobie sprawę jak krucho jest życie ludzkie i zależne od wielu czynników. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że połowa tych młodych ludzi którzy przed wojną byli komunistami a w czasie wojny służyli w granatowej policji to mieli podwójne zadanie do wykonania oni po prostu byli w konspiracji.

Nadszedł rok 1941 pamiętam dzień w którym Niemcy wkraczali do Kobrynia my dzieci nie patrzyłyśmy na nich nie pojmując, że tak bez walki wchodzą. Dorośli nie wychodzili bo nigdy nie wiadomo jak to Niemcy przyjmą, ale dzieci patrzyły. W tym dniu stałam przy drodze i patrzyłam a Mikołaj szedł od swojego domu ścieżką do nas, która oddalona była od drogi o około 100 metrów i odgrodzona wysokim żytem, że widać było tylko jego głowę w czapce i karabin który zrobił mu ojciec do zabawy. Kola niósł karabin na ramieniu i idąc nie zdawał sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Niemcy jak zobaczyli go to zaczęli krzyczeć, że „partizanen, banditen” i naszykowali karabiny do strzału. Ja widząc całą sytuację podbiegłam do pierwszego i zaczęłam wołać „nich szisen, nein partizanen, das Kinder” (nie strzelać, nie partyzant tylko dziecko). Niemcy nie strzelali tylko patrzyli jeden z nich powiedział „ja kom Kinder” więc ja zawołam do Koli chodź do nas i Kola podszedł i wtedy Niemcy zobaczyli, że to faktycznie dziecko i że ma karabin zabawkę i go puścili. Wieczorem p. Wodzianickiemu jak wrócił z pracy opowiedziałam o całym zajściu Koli z Niemcami a tata Koli powiedział że zrobił synowi śmierć nie zabawkę bo byli by go dziś zabili z tego powodu. Mama Koli płakała a tata wziął karabin i go porąbał. Kola żałował zabawki ale ja mu przetłumaczyłam, bawić się można piłką a nie karabinem. Po półrocznym pobycie u nas Antek odszedł do partyzantów jednak kontaktu z nami nie zerwał, bo jak mieli akcję sabotażową na torach to wieczorami przychodzili do nas przeważnie w małych grupach 10-cio osobowych odpocząć lub nawet zwyczajnie posilić się, mama zawsze miała nagrzaną dużą garnek wody do mycia bo mówiła „wszów mi naniósą” wtedy kazała im się rozbierać i myć. Później gotowała im jakąś ciepłą strawę aby mogli zjeść coś ciepłego w tym czasie mój tato ubrany ciepłej pilnował by nie zaskoczyli ich Niemcy po prostu stał na warcie by ci młodzi ludzie mieli choć chwilę odpoczynku przed akcją. Około godziny drugiej w nocy chłopcy odchodzili na akcję, po taki wizytach czasem coś pozostawało to granat, to znów mina a ja to wszystko chowałam, pewnego dnia po wieczornej wizycie patrzę a moje młodsze siostry bawią się okrągłym granatem jak piłką. Zabrałam im i zaniósłam pokazać to mamie a mama jak to kobieta w lament, że jeszcze wylecimy w powietrze. W naszej grupie dzieci byli chłopcy 13 i 14-letni i nieraz rozmawialiśmy o tych co zrywają tory czyli o partyzantach, chłopcy ich podziwiali i każdy z tych chłopców zazdrościł tym z lasu że oni walczą oni by też chcieli coś zrobić. Ja zaś miałam minę salomonową i mówię że jak chcą to też mogą podłożyć minę, oni zaczęli się śmiać chyba kartofel który nie wybuchnie, więc im powiedziałam że mam prawdziwą minę oczywiście nie powiedziałam skąd mam tylko związałam ich tajemnicą że jak mnie nie wydadzą to przyniosę minę. Przysięgli wszyscy że będzie to najgłębsza tajemnica więc postanowiliśmy założyć minę w zwrotnicy, która była na wprost naszego domu bo kolej przechodziła około 300 metrów od naszej ulicy. Przy tej zwrotnicy był posterunek i co jakiś czas z budki oddalonej o około 50 metrów wychodził wartownik na patrol w dzień jeden a w nocy dwóch. Akcja była przeprowadzona bardzo sprawnie, najpierw wszystkie dzieciaki normalnie bawiłyśmy się na torach po prostu graliśmy w ganianego żeby zmylić wartownika który akurat stał przy zwrotnicy on znudzony obserwacją nas poszedł do swojej budki i to nam wystarczyło chłopcy wyjęli minę z pod krzaka i włożyli ją w zwrotnicę, była to mina własnej roboty ale efekt dało. Na rezultat długo nie trzeba było czekać oczywiście my wszyscy pochowani chcieliśmy zobaczyć co będzie dalej akurat nadjechał pociąg jadący na front z zaopatrzeniem i wojskiem i jako że dojeżdżał do zwrotnicy to musiał zwolnić ale i tak był wybuch, że parowóz się przewrócił i pierwszy wagon. Nic się wprawdzie nikomu nie stało, ale ruch na kolei był wstrzymany na kilka godzin oczywiście my wszystkie dzieciaki uciekliśmy gdzie pieprz rośnie a moja młodsza siostra to dostała szoku, że jeszcze długo zrywała się w nocy i krzyczała ale nic nie powiedziała od tamtej pory przestaliśmy się bawić na torach w wysadzanie. Oczywiście Niemcy szukali partyzantów którzy ten atak przeprowadzili i to w dodatku w biały dzień i do głowy im nie przyszło że to mogły

zrobić dzieci bawiące się przy zwrotnicy i pod bokiem niemieckiego posterunku, to była nasza pierwsza i ostatnia akcja bo więcej nie miałam min.

Nadeszły czasy ciężkiej okupacji i coraz bardziej wzmagającego się terroru niemieckiego, wszyscy dorośli musieli pracować na rzecz gospodarki niemieckiej, moja rodzina też. Ojciec był wyganiany do kopania okopów, mama że miała małe dzieci to została w domu ale za to moja najstarsza siostra Marysia pracowała w pracowni „Szpineraj” gdzie szyto dla potrzeb armii niemieckiej pilotki, rękawice oraz robiono na drutach swetry, skarpety. W domu zagościła bieda gdyż Niemcy wydzielali jedzenie które wprowadzili na kartki, jednym z takich produktów był chleb i tak przykładowo dla sześciu osobowej rodziny tak jak nasza był przydział sześć kilo chleba na tydzień, pamiętam któregoś dnia mama wysłała mnie po chleb z kartkami więc poszłam i kupiłam trzy ponieważ bochenki były dwukilogramowe. Wracając do domu przez tory bo było bliżej przechodziłam obok tartaku i pustego placu tego samego gdzie w 1939 roku stali nasi żołnierze w wagonach i spalili cały zapas drzewa żeby się ogrzać a my dzieci im w tym pomagałyśmy. Teraz ten plac ogrodzono drutem kolczastym i zamieniono w tymczasowe więzienie dla jeńców radzieckich, którzy też marzli i głodowali gdyż była późna jesień a oni leżeli na gołej ziemi w letnich mundurach zwanych „rubaszkami”. Pilnowali ich niemieccy żołnierze ja przechodząc obok byłam przerażona tym widokiem że oni tak cierpią i zaraz przypomniało mi się to co wydarzyło dwa lata wcześniej tylko z tą różnicą że tam to byli polscy żołnierze których ruscy żołnierze głodzili, a teraz role się odwróciły niedawny sojusznik a teraz wróg, ale i tak mi było ich żal. Przechodząc obok drutów jeden z żołnierzy widząc u mnie chleb zawołał „dziewoczka daj chleba” i wyciągnął ręce nie wiedziałam co zrobić żal mi się zrobiło, bałam się też wartownika. Żołnierz niemiecki pilnujący jeńców odwrócił się i odszedł w drugą stronę ja zaś zaczęłam rwać ten chleb i rzucać przez ogrodzenie a żołnierze którzy złapali coś zaraz kładli się na ziemię i szybko zjadali aby inny nie odebrał im zdobyczy, ci żołnierze co złapali choć trochę chleba płakali a ja razem z nimi i w taki sposób rozdałam cały tygodniowy przydział chleba dla naszej rodziny. Przyszłam do domu spłakana i bez chleba a mama się pyta czy mnie kto pobił i zabrał chleb a ja mówię że nie i opowiedziałam o wszystkim że tam na placu są głodni ruscy żołnierze więc ojciec powiedział że po chleb to mama musi chodzić sama bo pośle Zosię to ona ci go nie doniesie bo po drodze rozda go głodniejszym. Na 6-cio osobową rodzinę te sześć kilo chleba na tydzień to było mało a ja jeszcze go rozdałam więc mama miała duży problem jak wyżywić wszystkich ale jakoś dawała radę choć było ciężko, gotowała ziemniaki, smażyła placki, gotowała prażuchę z żytniej mąki. Ojciec pracował, siostra pracowała a zapłata była marna i czasami nie było co w domu co jeść więc i ja postanowiłam pracować, ale co mogło robić jedenastoletnie dziecko więc wymyśliłam handel. Poprosiłam mamę aby dała mi 15 jaj włożyłam do koszyka i poszłam je sprzedać do sklepu gdzie mogli kupować tylko Niemcy ale nie za pieniądze tylko za drobną biżuterię oczywiście sztuczną. Upatrzyłam sobie starszego niemieckiego żołnierza i zapytałam się czy nie kupiłby jajek a on zapytał się za ile a ja mu pokazałam na wystawie różne pierścionki, korale, kolczyki, broszki a on wchodził i kupował te wszystkie drobiazgi tak z pół torebki papierowej. Przyszłam do domu wzięłam większy koszyk wiklinowy i poszłam na wieś sprzedać te drobiazgi ale nie za pieniądze ale za jajka i tak pierścionek kosztował 2 jajka, broszka 3, korale 4 jajka a kolczyki 1 jajko i tak zbierało się tych jajek dość sporo, że ledwo przyniosłam koszyk do domu. Ojciec był zaskoczony że nikt mnie nie napadł i nie zabrał „utargu” ale ludzie na wsi byli dobrzy i spokojni i uczciwi nikt mnie nie oszukał, dziewczęta dopytywały się kiedy jeszcze przyjdę, a ja tak chodziłam dwa razy w miesiącu po wsi z tą sztuczną biżuterią a zgromadzony utarg mama zanosila na targ i sprzedawała i w ten sposób jakoś wiązało się koniec z końcem i nikt w rodzinie nie głodował. Wszyscy zachodzili w głowę skąd u mnie taki pomysł a ja tak jakoś sobie umyśliłam żeby pomóc rodzicom ten handel trwał prawie całą zimę, ostatni raz poszłam handlować na początku marca do wsi oddalonej od naszej około 5 kilometrów na północ za naszymi łąkami, w tej też okolicy znajdowało się lotnisko, żydowski cmentarz a za nim przed wojną była strzelnica gdzie wojsko od czasu do czasu miało strzelanie. Strzelnica była osłonięta od strony wsi wysokim nasypem ziemnym szerokości około 200 metrów, do strzelnicy dojeżdżało się z drugiej strony cmentarza. Tego dnia wracałam do domu a było dość późno około godziny 18.00 w każdym bądź razie było już ciemno usłyszałam warkot samochodów od strony miasta i pomyślałam że jadą Niemcy o tak późnej porze i w stronę strzelnicy tylko w jednym celu rozstrzelać więźniów. Zorientowałam się że jestem widoczna na polu ośnieżonym z daleka i mogą mnie zabić jako niewygodnego świadka. Nim skręcili z szosy w stronę cmentarza i jechali po tamtej stronie, to zaczęłam kopać dołek w śniegu i sypać go na koszyk, aby nie był widoczny a sama wcisnęłam się w ten dołek i tak przetrwałam całe rozstrzelanie tych ludzi. Kule świstały nade mną a ja wysłuchiwałam wszystkie lamenty, krzyki, pożegnania bo odległość mojego ukrycia od tych ludzi była nie większa niż około 300 metrów. Cała ta egzekucja trwała nie więcej jak godzinę Niemcy po zabiciu tych ludzi zasypali i odjechali, a ja bałam się ruszyć z mojego ukrycia bo myślałam że Niemcy zostawili kilku żołnierzy w celu pilnowania i że jak ja wyjdę z ukrycia to mnie zobaczą i zabiją, nie pamiętam ile czasu leżałam ale wreszcie odważyłam się ruszyć i dalej iść przez pole, wzięłam koszyk który był przestrzelony w wielu miejscach i zdrętwiała oraz prawie zamrożona ruszyłam w stronę domu. Moja mama nie mogąc doczekać się

mojego powrotu wyszła naprzeciw i wołała Zosia! Zosia! a ja wleklam ten koszyk po śniegu, bo nie mogłam go podnieść zgrabiałymi rękoma, wreszcie mama zauważyła mnie i dobiegła do mnie i pomogła jedną ręką unosiła mnie a w drugiej niosła koszyk z którego ciekły potłuczone jajka. Po tym siedzeniu w śniegu bardzo się rozchorowałam, ratowano mnie i leczono aż wreszcie doszłam do zdrowia ale rodzice nie puścili mnie więcej na handel. Nadeszła wiosna 1943 roku i ja wyzdrowiałam po tej mojej wędrówce za handlem ale nie przestałam myśleć o zarabianiu i pomocy rodzicom w utrzymaniu rodziny i siebie. Jak jeszcze leżałam w łóżku po tym moim cudownym ocaleniu spod kul to wymyśliłam sposób, do nas przyjeżdżał gospodarz z sąsiedniej wsi Bystrzyca na targ z nabiałem i zawsze u nas zostawiał swojego konia z wozem. Pewnego kwietniowego dnia przyjechał p. Paweł bo tak miał na imię ów gospodarz który u nas zostawiał swój zaprzęg poszedł na rynek sprzedał swój towar i wrócił, rozmawiali jakiś czas z moim tatą a ja go zagadnęłam czy nie potrzebuje pomocy w gospodarstwie. Obaj popatrzyli się na mnie i uśmiechnęli myśląc że to żart a ja mówiłam poważnie, wreszcie p. Paweł zapytał się co ja bym chciała robić bo krowy się pasą same na kwaterach (takie zagrodzenia) a na inną pracę to jestem za mała ja zaś nie dawałam za wygraną i mówię że ktoś te krowy musi zagnać a i owce też trzeba dopilnować i w domu potrafię pomóc. Pan Paweł zapytał się jeżeli przyjął by mnie do pracy to co ja za tą usługę bym chciała a ja na to, że chciałabym 100 kilo mąki żytniej na chleb, 100 kilo mąki pszennej na kluski oraz wełny na ubranie, panowie popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się pod nosem, p. Paweł powiedział że żądam zapłaty jak dorosła osoba i pomrugali do siebie znacząco i nic nie powiedzieli, tylko pomyśleli że to zachcianka dziecka i że szybko mi się znudzi ta praca i mnie przywiezie z powrotem. Tak zaczęła się moja przygoda we wsi Bystrzyca. Pan Paweł z żoną nie mieli dzieci i gospodarowali sami jak p. Paweł przywiózł mnie do domu to jego żona zdziwiła się i powiedziała „coś ty Paweł dziecko mi przywozisz a tu robota w polu się zaczyna” i ona nie będzie miała czasu zajmować się dzieckiem a on odpowiedział, że przywiózł mnie do pomocy żonie w gospodarstwie, oboje spojrzeli po sobie i nic nie powiedzieli. Na drugi dzień gospodarze wstali wcześniej rano, bo na wsi wstawało się wcześniej rano i poszli oporządzić bydło gospodyni wydoiła krowy a gospodarz wygnał je na pole po zrobieniu obrządku w obejściu wzięli graczki, koszyki i poszli w pole truskawki pielich a ja usłyszałam że gospodyni miała później przyjść i zrobić śniadanie. Ja to wszystko obserwowałam ze swojego posłania ale nie śmiałam się podnieść przykryta kołdrą po sam nos, jak gospodarze wyszli z domu to ja wstałam i wyjrzałam w którą stronę poszli, ubrałam się i zaczęłam gospodarzyć w kuchni bo chciałam przygotować im śniadanie. Rozpaliłam pod kuchnią ogień, przyniosłam mleko znalazłam jajka i twaróg i zrobiłam moim gospodarzom śniadanie lane kluski na mleku i twarózek z chlebem. Wszystko odpowiednio doprawione i smaczne a umiałam to robić bo jak rodzice oraz najstarsza siostra szli do pracy to ja robiłam śniadanie moim młodszym siostram, ale wracając do mojej pracy u p. Pawła całe to przygotowane śniadanie zapakowałam do koszyka wraz z talerzami i zniosłam im na pole. Gospodarz zobaczywszy mnie pyta się co ja niosę a ja mówię że śniadanie i nic więcej nie mówiąc rozłożyłam czysty ręcznik na miedzy i ponalewałam zupy a następnie dałam miseczkę z twarogiem i chleb. Gospodarze najedli się i bardzo im smakowało a p. Paweł powiedział że tak dobrej zupy dawno nie jadł i był zadowolony z siebie że taką pomocnicę przywiózł sobie a gospodyni już nie mówiła że jestem dziecko i że musi się zajmować mną. Później jak szli w pole to mówiła tylko co i jak mam zrobić na śniadanie lub obiad i spokojnie szli do pracy w polu. Zadomowiłam się na dobre u moich pracodawców i było mi dobrze, ale w łaski gospodarza wkradłam się jeszcze bardziej pewnym zdarzeniem. Było to jakoś w czerwcu miał gospodarz konia do robót polowych taki zwykły koń niezbyt duży ale dobrze odżywiony i silny często go czyściłam i na nim jeździłam był bardzo spokojny i słuchał mnie. Pewnego razu Niemcy jechali taborami z zaopatrzeniem dla wojska na wschód bo kolejną nie mogli bo co i rusz były tory zrywane i nie nadążano ich reperować więc zostało dostarczenie zaopatrzenia wozami. Akurat przejeżdżali przez wieś i zobaczyli naszego konia że taki zdrowy więc zabrali go a zostawili wychudzonego prawie zdychającego i wymęczonego konia. Koń był poobcierany, poraniony i wychudzony po prostu skóra i kość, gospodarz popłakał się i powiedział że konisko padnie. Ja popatrzyłam na konia i mówię do p. Pawła że konia trzeba ratować a on odpowiedział że bym robiła co chcę bo i tak koń padochnie (czyli zdechnie) dał mi wolną rękę więc wzięłam się za ratowanie konia pierwsze co zrobiłam to posłałam mu stajni miękkiej słomy i dałam pić. Wprowadziłam do stajni i kazałam mu się położyć o dziwo koń polecenie zrozumiał i się położył po około godzinie przyniosłam mu jeść, konisko posiliło się i już stało. Następnie wzięłam się za mycie konia bo był bardzo brudny i poraniony muchy siadały na jego ranach. Po umyciu przykryłam konia starym ale czystym prześcieradłem i poprosiłam gospodarza o wodę karbolową, którą przemywano koniom rany jak się skaleczyły. Woda odkażała rany i bardzo śmierdziała a tego zapachu muchy nie lubiły i przestały obsiadać konia i rany zaczęły goić się szybciej. Wprowadziłam konia z powrotem do stajni i kazałam się położyć, cały dzień miałam co robić przy nim. Pod wieczór wyprowadziłam konia na podwórko odzianego w prześcieradło które przewiązane było pod brzuchem żeby nie spadło i rozumiałam że jak ktoś jest chory to może mu być zimno więc go okryłam czystym też starym kocem. Gospodarz patrzył na konia z nadzieją, że może nie zdechnie gdyż głowę podniósł wyżej i widać było już nieznaczny poprawę a końsko

zrozumiało że go ratujemy, Następne dni poświęcałam tylko koniowi i wszyscy się dziwili co ja z nim robię, a ja po prostu go doglądałam i opiekowałam się nim, chodziłam koło niego i pod brzuchem przechodziłam a on nawet nie drgnął i nie kopnął mnie. Rany zaczęły się szybko goić wyprowadzałam go na świeżą trawę i kończynę, dawałam mu obroku w którym było więcej owsa niż siewki. Koń tak się odżywił, że to był piękny rumak nie zdychająca chabeta i pięknie wyglądał jak go wypuściłam na łąkę to galopował jak po prerii. Koń się tak do mnie przywiązał że na moje gwizdnięcie to przybiegał do mnie jak by był tresowany choć wcale nie było to moim zamiarem po prostu chciałam konia uratować, jak koń już wyzdrowiał to chciałam na nim pojeździć i tu nastąpił problem gdyż ten koń był wyższy od tamtego co go Niemcy zabrali na tamtego wsiadałam przy pomocy stołka a na tego to musiałam wejść z dachu szopki. Na podwórku to nie było problemu ale na łące już był ale i to przewyciężyłam po prostu nauczyłam jego kłaść się i dopiero wtedy na niego wsiadałam a on razem ze mną na grzbiecie wstawał. Pan Paweł za głowę się złapał jak to zobaczył i co ja z tym koniem wyprawiam i bał się że coś mi się może stać ale się nie stało. Martwił się gospodarz tym że koń po takich przejściach nie zechce pracować w polu więc poradziłam mu aby zamówił u rymarza chomąto na jego rozmiar a resztą to ja się zajmę że koń będzie pracował i w polu i przy wozie. Jak już chomąto było gotowe to zaczęłam tłumaczyć konikowi że jest już zdrowy i silny i że musi pracować tak od tłumaczenia przeszłam do praktyki przystawiłam stołek weszłam na ten stołek i założyłam mu chomąto on jakby zrozumiał i pozwolił sobie założyć, następnie gospodarz przyprzągł go do pustego wozu i pojechał po okolicy aby koń się przyzwyczaił do ciągnięcia. Później nie było żadnych kłopotów z pracą w polu gdyż gospodarz obchodził się z koniem dobrze wcale nie potrzebował używać bata gdyż koń był bardzo mądry a gospodarz dumny że ma tak pięknego konia. Pamiętam jeszcze jedno zdarzenie dotyczące mojego uratowanego konia, pewnego dnia gospodarz pojechał rowerem do miasta ja byłam czymś zajęta i jak przyszedłam do domu to gospodni siedzi przed chatą i płacze ja się pytam co się stało a ona mówi że już po naszym koniu bo pasł się na łące i rozpętał się i przepłynął rzekę i poszedł paść się na ozimie za rzeką i teraz ktoś go złapie i nie będzie konia a gospodarz wróci dopiero wieczorem do domu. Ja niewiele myśląc pobiegłam do domu przebrałam się w strój kąpielowy i powiedziałam gospodni że ja konia sprowadzę i niech przestanie płakać, a ona jeszcze w większy lament bo bała że się utopię. Pobiegłam w stronę rzeki przepłynęłam ją gdyż dobrze pływałam a rzeka w tym miejscu miała tylko około 100 metrów. Po przepłynięciu poszłam po konia, rozpętałam go i pęta założyłam do uzdy ale tak niefortunnie że jak wsiadłam na konia i zjeżdżając do rzeki z nasypu jeden koniec pęta rozwiązał się a ja straciłam równowagę i spadłam z konia przez łeb prosto pod kopyta do wody, koń w tym momencie zrobił unik uskakując w bok do wody nie robiąc mi żadnej krzywdy. Zaczęliśmy płynąć ja dla fantazji złapałam się jego ogona jedną ręką a drugą płynęłam w ten sposób dotarliśmy na drugi brzeg gdzie już dobrze założyłam pęta na wędzisko i kazałam się koniowi położyć i wsiadłam na niego i bez przeszkód wróciłam razem z koniem do domu. Gospodni cały czas obserwowała moje poczynania i cały czas martwiła się o mnie, jak przyjechaliśmy do domu to ona powiedziała że dostanie zawału przeze mnie bo obserwowała co ja wyczyniałam z tym koniem że mógł mnie rozdeptać a ja odpowiedziałam że mógł ale nie rozdeptał. Po powrocie gospodarza do domu gospodni wszystko mu opowiedziała o mojej przygodzie z koniem p. Paweł śmiał się i cieszył, że sobie tak poradziłam i tylko powiedział po swojemu że to kozak nie dziewczyna.

Mój pobyt w Bystrzycy wiąże się z jednym z ważniejszych przeżyć moich wioska oddalona była od Kobrynia około 10 kilometrów w połowie drogi pomiędzy wioską a Kobryniem były koszary gdzie przed wojną stacjonowały wojska polskie a w czasie wojny w tych koszarach rozlokowano oddział niemiecki tam też znajdował się arsenał broni. Moje wspomnienie ściśle wiąże się z tymi koszarami a zaczęło się w niedzielę rano tuż po wschodzie słońca, wstałam razem z gospodarzami aby wypędzić krowy na pastwisko a później wypędzić owce na rów przed domem aby jadły trawę bo już duża wyrosła. Owce trzeba było pilnować aby dalej nie poszły więc wzięłam sobie kij leszczynowy do wyrzeźbienia wsiadłam i zaczęłam go rzeźbić. W tym czasie sąsiadki które wypędziły krowy na pastwisko posiadały na rowie przy drodze rozmawiały o swoich kłopotach po prostu o wszystkim i niczym. W pewnym momencie ja zauważyłam wielki tuman kurzu na horyzoncie, który posuwał się od lasów dalekich do wsi pomyślałam jadą partyzanci bo Niemcy tak rano i w dodatku od lasu nigdy nie jechali. Ucieszyłam się bo wiedziałam że w tym oddziale jest Antek którego mój ojciec uratował od niechybnej śmierci a do kobiet powiedziałam że jadą „partyzany” a one odpowiedziały o głupia w niedzielę ale zobaczyły rzeczywiście jadą i że to co mówiłam jest prawdą rozbiegły się do domów. W tamtym czasie każda akcja partyzantów przeciwko Niemcom odbijała się na ludności cywilnej gdyż Niemcy pacyfikowali wieś która pomagała partyzantom a jak złapali kogoś to spędzali do jednej stodoły i ją podpalali stając dookoła niej strzelali do wszystkiego co się ruszało. Kobiety rozbiegły się po domach i ludzie zaczęli uciekać do lasu z dobytkiem co zdążyli złapać, turkot wozów ucichł a we wsi nie było nikogo tylko ja mała dziewczynka pasąca owce przy drodze. Po około pół godzinie na drugim końcu wsi pokazał się młody chłopak na motorze tzw. zwiad wpadł do jednej chałupy nie zastał nikogo wszedł do drugiej tam też nikogo nie było i zobaczył mnie na końcu wsi podjechał do mnie i pyta się „dziewczka czy we wsi są

Niemcy” a ja mu odpowiedziałam, że jakby byli to jego by już nie było, on patrzył na mnie i nie zrozumiał tego co powiedziałam i powiedział „nu gawari” to znaczy mów ja mu odpowiedziałam że jak by byli to oni by jewo ubili. Wtedy zrozumiał a ja zapytałam się czy jadą na koszary a on mi odpowiedział że bym nie była ciekawa bo nie urosnę machnął ręką i pojechał a za nim reszta oddziału na furmankach który w między czasie dojechał. Co to była za zbierana drużyna mundury mieli różne polskie, ruskie, niemieckie, czeskie a niektórzy w ubraniach cywilnych nie liczyłam ich ale było ich dużo około 100 chłopca na kilkunastu furmankach.

Jechali i przyglądali się mnie małej dziewczynce a ja szukałam Antka ale go nie było bo to nie był oddział Antka tylko inny który w tym rejonie akurat przeprowadzał akcję. Odjechali i po jakieś pół godziny usłyszałam strzelaninę która nie trwała długo i już wiedziałam że koszary zostały wzięte. Później dowiedziałam się dlaczego tak szybko skończyła się strzelanina i nie było ze strony Szwabów bo Niemcy zostawili w koszarach niewielki oddział do ochrony a reszta ruszyła na akcję przeciwko partyzantom bo taką uzyskali wiadomość która okazała się fałszywą. Po około godzinie pojawili się partyzanci patrzą wozy wyładowane bronią, materiałami wybuchowymi., amunicją konie ledwo ciągną te wozy a jeden z nich się znarowił i nie chciał ciągnąć, chłopaki pchali wóz, ciągnęli konia za pysk a on ani w te ani w drugą stronę ja ich dopingowałam żeby jechali szybciej bo Niemcy już pewno wiedzą o napadzie i mogą zaraz nadjechać. Patrzą to konisko dobrze odżywione i nie słabe a nie chce ciągnąć wymachiwałam moim kijaszkiem leszczynowym i tak myślałam że jak bym mu przyłożyłam to od razu by poszedł do przodu i zaczął by ciągnąć, któryś z chłopców poprosił mnie abym dała mu mój kij i przyłożył parę razy koniowi on zaczął się kręcić i wierzgać, ale pociągnął ciężki wóz do przodu. Partyzanci odjechali niedaleko tak mi się wydawało gdyż zaraz nadjechali Niemcy na wozach opancerzonych a razem z nimi przyjechali policjanci ukraińscy wśród których był też mój brat stryjeczny Olek, którego cała nasza rodzina nie lubiła dlatego, że wysługiwał się Niemcom dopiero po wojnie dowiedziałam się o jego prawdziwym zadaniu po prostu Olek był wtyczką dla partyzantów. Niemcy pytali się „partizanen, banditen” ja oczywiście udawałam że nic nie rozumiem to zaczęli pytać po rosyjsku „dziewuszka słuszaj czy zdies byli partizany” ja oczywiście milczałam i udawałam także że nie rozumiem po rusku a wszystko to robiłam po to aby dać czas partyzantom do jak najdalszego odjazdu wreszcie któryś z policjantów zapytał się czy rozumiem po polsku a ja że tak to pytają się o tę samą rzecz co poprzednio a ja odpowiedziałam że byli to oni zapytali się gdzie pojechali a ja mówię do lasu a w którą stronę ja oczywiście miałam już przygotowany plan wysię Niemców w tą drogę w wsią też wiodła do lasu, jak sobie zaplanowałam tak zrobiłam wysłałam Niemców właśnie w tę drogę w lewo a wiodła ona głębokim jarem i była piaszczysta i oczywiście porośnięta z obu stron lasem mój brat stryjeczny Olek jak to usłyszał to roześmiał się na głos bo on znał te tereny i wiedział że partyzanci nie pojechali tą drogą tylko inną ale wcale nie powiedział tego pozostałam a ja pomyślałam sobie będziesz się śmiał jak trzeba będzie samochody wyciągać z piachu. Ja wiedziałam że jak ciężkie wozy tam wjadą to szybko z niej nie wyjadą, długo nie musiałam czekać słyszę jak samochody buksują i Niemcy rąbią drzewo żeby podłożyć pod koła wtedy pomyślałam że trzeba uciekać bo Niemcy jak wyjadą z stamtąd to będą wściekli i mogą mnie zabić, więc niewiele myśląc zagoniłam owce do zagrody wbiegłam do domu zabrałam kozuch, bochenek chleba i bańkę z mlekiem i uciekłam w żyto. Siedziałam tam 3 dni w dzień na kozuchu a w nocy pod nim słyszałam jak Niemcy wyjechali z pułapki słyszałam też jak ludzie wrócili z lasu do wsi jak moi gospodarze wrócili do domu i zaczęli mnie szukać i wołali Zojka, Zojka a ja siedziałam w tym życie i nie wychodziłam bo myślałam że to Niemcy każą im mnie szukać. W nocy podchodziłam pod zabudowania i wypatrywałam czy nie ma zasadzki na mnie, wreszcie po trzech dniach jak skończył mi się chleb i mleko zsiadłe wypilałam to przysłałam do domu niosąc kozuch i bańkę po mleku. Jaka była radość jak mnie zobaczyli gospodarze całą i pytali się gdzie ja tak długo byłam a ja odpowiedziałam że też uciekłam do lasu jak wszyscy p. Paweł powiedział do żony żeby więcej nie pytała się co robiłam tylko żeby nagrzała wody bo trzeba ją wykapać bo jest zakurzona i brudna. Wcale im nie powiedziałam prawdy bo po co miałam ich martwić że miałam spotkanie z Niemcami, jednak na tym mój kontakt z partyzantami się nie zakończył tydzień później bawiąc się z dziećmi nad rzeką widzę idzie dwóch młodych ludzi ubranych w kurtki oraz buty wysokie do kolan typu oficerki i przyglądają się dzieciom kąpiącym się nad rzeką, jednego z nich rozpoznałam był to ten razwiadowcy (zwiadowca) co podjechał do mnie na motorze. Przechodząc koło mnie dawali dyskretnie znaki że chcą ze mną porozmawiać pokazałam im aby szli dalej w krzaki bo przy dzieciach nie chciałam z nimi rozmawiać gdyż mogło to być niebezpieczne bo dzieci jak to dzieci wypaplałyby coś a inny usłużny doniósłby Niemcom. Po kilku minutach udając że biegam dla rozgrzewki pobiegłam za krzaki za którymi siedzieli owi młodzi ludzie, zaczęliśmy rozmawiać ja się zapytałam jak dojechali i czy uciekli Niemcom oni mówili że tylko dzięki mnie dojechali szczęśliwie, bo już byli powiadomieni kto im życie uratował. Ja do tego zwiadowcy który jeździł motorem powiedziałam ot widzisz mówileś że bym nie była za mądra i co by ci przyszło z głupiej dziewczynki. Przepraszał mnie za to powiedzenie i prosił abym się nie gniewała „bo ty umna” (znaczy bo ty mądra) ja odpowiedziałam że przeprosiny przyjęte a drugi z partyzantów zapytał się mnie czy bym się nie dowiedziała kiedy będzie oddawany kontyngent (czyli obowiązkowa dostawa na rzecz

okupanta). Ja mówię że teraz mają czym strzelać tylko nie macie co jeść a oni przyznali mi rację i że ludziom na wsi nie uchodzi zabierać a przyjsć do wioski i narażać ich na niebezpieczeństwo też nie warto ale Niemcom na drodze już po zebraniu kontyngentu zabrać to co innego. Ja mówię że mają rację i dodałam jeszcze żeby się we wsi nie pokazywali i niech przyjdą za dwa dni w to samo miejsce to może już coś więcej będę wiedziała. Następnego dnia poszłam do sołtysa a był nim ojciec mojego gospodarza i mieszkał naprzeciwko razem z żoną których nazywałam dziadkami bo byli to rodzice p. Pawła i lubili mnie bardzo za to że tak pomagam ich synowi i widzieli jak się staram. Jak przyszłam to pomogłam babci obrać ziemniaki i przyniosłam drzewa które ojciec p. Pawła narażał i pytam się dziadku kiedy będzie odstawiany kontyngent a on się zapytał po co mi to wiedzieć więc mu odpowiedziałam że chciałam pojechać do rodziców może by mnie zabrali a on mi odpowiedział że w środę Niemcy będą zbierać kontyngent to cię na pewno zabiorą a ja mówię że jeszcze na pewno nie wiem czy pojedę bo może będę potrzebna moim gospodarzom. Na drugi dzień poszłam nad rzekę gdzie czekali oni na mnie i wszystko im przekazałam czego się dowiedziałam i w ten oto sposób zaczęła się moja współpraca z partyzantami. Zbliżała się zima i nadszedł koniec mego pobytu w Bystrzycy gospodyni uprzedła mi wełny na ubranie i sama zrobiłam sobie spódnicę i blezer na drutach a gospodarz wedle umowy przywiózł 100 kilogramów. Mąki pszennej i 100 kilogramów żytniej oraz dołożył dużą szynkę i mówi córeczko (bo tak ładnie do mnie mówił) abyś suchego chleba nie jadła. Na drugi rok jak przyjechał na targ i do nas to powiedział Zojka ja teraz wiem gdzieś ty się przez te trzy dni ukrywała w lesie u partyzantów, bo szukali ciebie partyzanci i ja boję się ciebie wziąć do nas do pracy bo mogą być z tego same kłopoty odpowiedziałam trudno jakoś sobie poradzę. Nie chciało mi się w domu być całe lato więc poprosiłam mamę żeby dał mnie do kogoś na wieś do pomocy, mama знаła jedną kobietę we wsi Ostrów oddalanej od Kobrynia około 10 kilometrów na północny-zachód była wdową i mieszkała z synem i potrzebowała od czasu do czasu kogoś do pomocy pomagałam jej we wszystkim. Pewnej nocy po około dwóch tygodniach pobytu u tej pani przyszli ludzie byli to jak się później okazało partyzanci którzy dowiedzieli się że mieszka u niej obca dziewczyna i chcą zrobić kontrolę, nie kazali palić światła ani żadnego ognia bo mają latarkę i sobie poświecą ja się obudziłam i słyszę rozmowę poznałam po głosie jednego z partyzantów więc dla hecy zakryłam się kołdra na głowę i nie dałam sobie jej ściągnąć po kilku próbach wreszcie udało im się ściągnąć i jeden z nich jak mnie zobaczył to się bardzo ucieszył z tego spotkania i powiedział popatrzcie myśmy jej szukali w Bystrzycy a ona tutaj. Przywitałam się ze wszystkimi, każdy usiadł gdzie mógł i zaczęliśmy rozmowę o chłopcach co z nimi chłopaki zaczęli opowiadać, że Wasyl zginął podczas akcji, że Siergieja wywieziono samolotem do Moskwy na leczenie ja płacząc oni płaczą razem ze mną bo to byli młodzi chłopcy w wieku około 17-18 lat jeszcze prawie dzieci. Gospodyni siedziała koło pieca przerażona i blada i patrzy że ja z nimi w najlepszej komitywie rozmawiam i wcale się ich nie boję jak chłopcy poszli mówiąc że wszystko w porządku nie pytała mi się skąd ja ich znam tylko następnego dnia powiedziała do swojego syna Mietka żeby on mnie zawiózł z powrotem do domu bo dziewczyna z miasta a zna się z partyzantami. Chłopak odwiózł mnie do domu i wyjaśnił mamie że na razie nie potrzebują pomocy, mama się nie pytała mnie choć się domyślała że przy moich zdolnościach to musiało wydarzyć się coś szczególnego a ja nie mówiłam bo po co jeszcze mamę martwić. Tak zakończyła się przygoda z partyzantami.

Kobryń był miastem wielu kultur które ze sobą harmonizowały i nie było pod tym względem większych konfliktów oczywiście to nie podobało się „panom świata” jak nazywali siebie Niemcy w czasie II wojny światowej więc pod koniec wojny tu też utworzono getto żydowskie i zaczęto zwozić okolicznych Żydów do tego getta a następnie wywozić ich w wagonach towarowych takich dla bydła do obozów koncentracyjnych między innymi do Treblinki gdyż tam było najbliżej. Ładowano ich do wagonów jak najczęściej jeszcze upychano żeby zmieściło się ich dużo następnie zamykano drzwi i tak przygotowany transport do wywozu czekał na odjazd trwało to czasami kilkadziesiąt godzin, a że ładowano wszystkich bez względu na wiek i płeć oraz czy są to rodziny czy nie ważne to było, że załadowano do pełna. Zdarzały się sytuacje, że matki z dzieckiem na ręku pakowano do wagonu i dzieci po prostu się dusiły gdyż nie miały czym oddychać więc matki chcąc je ratować bo tak nakazuje instynkt wystawiały je przez te małe okienka których w wagonie było tylko cztery, a Niemiec oprawcy chodzący wzdłuż wagonów walili pałami po tych małych dziecinnych główkach. Oczywiście było słyhać płacz i lament matek tych dzieci które oczywiście po takim uderzeniu miało roztrzaskaną głowę i ginęło na miejscu matki wciągały z powrotem swoje martwe dzieci. W niewielkiej odległości od miasta może około 30 kilometrów. Niemcy zabijali Żydów z getta i na miejscu zwłoki palono, dym snuł się straszny duszący tuż nad ziemią nie unosił się do góry. Trwało to około dwóch tygodni my wszyscy dusiliśmy się tym dymem nasi księża pamiętam ich nazwiska byli to ks. Wolski oraz ks. Grobelny pomagali Żydom w getcie i za pomoc zostali także razem z pozostałymi żyjącymi Żydami wywiezieni samochodami za miasto, rozstrzelani i spaleni. Jak wywozili ich to Kapłani żegnali miasto Krzyżem Świętym i błogosławieństwem. My jako dzieci tzn. ja i moje młodsze siostry poszłyśmy zobaczyć to opustoszałe getto i tam poznajdowałyśmy porzucone zabawki, jakieś książki książeczki dla dzieci lalki oraz inne rzeczy

przydatne do zabawy, przyniosłyśmy to do domu i bawiłyśmy się tym, nasz tato jak zobaczył to spytał skąd te zabawki mamy więc opowiedziałam mu skąd pochodzą, a on nie krzyczał na nas tylko posadził nas przed sobą i zaczął tłumaczyć że te zabawki są po dzieciach które zostały wywiezione do obozu lub zamordowane za miastem i że są one oblane łzami i krwią ludzką i każdy który te rzeczy będzie używał będzie współwinnym tej ludzkiej tragedii na równi z oprawcami. Płakałyśmy wszystkie trzy bardzo i nie dlatego żeby za to tato nas zbił lub skrzyczał lub w innej formie ukarał, tylko z żalu nad tymi ludźmi więc pozбираłyśmy przyniesione rzeczy z getta zanosiliśmy z powrotem i zostawiłyśmy za bramą getta. Ostatecznie getto przestało istnieć w roku 1943 nadszedł rok 1944 Niemcy brali coraz większe bity na każdym froncie a w szczególności na froncie wschodnim przesuwały się front i odgłosy zbliżającej się ofensywy dawał nadzieję na rychłe wyzwolenie. Po wyzwoleniu Kobrynia przez Sowieców w 1944 na powrót zaczęły się represje tylko teraz w wydaniu sowieckim i tylko wobec ludności polskiej, kto nie zapisał się na listę repatriacyjną to musiał się liczyć z tym że Sowieci mogą ich wywieść w głąb Rosji a najbardziej znanym miejscem był Sybir i dalej w głąb części azjatyckiej Związku Sowieckiego. Zostali tylko najbardziej związani z tą ziemią poleską i z miastem Kobryń od dziada pradziada po prostu od pokoleń i to oni ponieśli największą karę będąc Polakami opłacili to wieloletnim zesłaniem i tułaczką w nieznaną. Trudno mi wyliczyć wszystkich z nazwiska a nie chciałabym się narazić na przyszłe dochodzenie ze strony władz obojętnie którego kraju. Został nasz kościół a w nim nasz ksiądz Józef Horodyński wywieziony na Sybir na 5 lat za nieprzestrzeżenie zakazu odprawiania mszy świętej. Po powrocie do Kobrynia znów podjął posługę kapłańską i Sowieci znów go skazali na zesłanie tym razem na 15 lat odsiedział 8, wydalony do Polski zamieszkał w Siemiatyczach bo tam miał rodzinę schorowany na wpół ślepy dochodził do zdrowia pod troskliwą opieką rodziny. Po odzyskaniu jakiegoś takiego zdrowia został mianowany Dziekanem na Dekanat Drohiczyński (w chwili kiedy piszę te słowa Ks. Horodyński odszedł na wieczną służbę do Najwyższego). Został nasz kościół na łasce oprawców którzy nie mieli żadnych przeszkód w rozgrabieniu jego oraz dewastacji, zrobili z niego magazyn mebli starych i nowych rozkradli żyrandole i dywany które później powiesili i położyli w swoich gabinetach sekretariatach. Część rzeczy które dało się uratować parafianie pod osłoną nocy powynosili i poukrywali u siebie. Kościół został zamknięty w 1962 roku był podpalany trzy razy, aż dach runął do środka.

Świątyni nie było przestała istnieć ale Bóg uczynił że wszystkich serc parafian Kościół, którego nie dało się spalić ani zniszczyć Ludzie ci wciąż żyli i działali, postawili szopę drewnianą za spalonym kościołem i tam były odprawiane msze święte przez księdza który dojeżdżał z Brzeźcia najczęściej był to ksiądz Tadeusz Olszewski

Rok 1943 na terenach dawnej wschodniej Polski a obecnie Białorusi odznaczał się wyjątkowym okrucieństwem ze strony Niemców i jeszcze większym oporem ze strony obrońców. Niemcy zakładali posterunki na wsiach, które były skutecznie palone a załogi wybijane. Jak wyszło się na dwór w nocy to widać było wokół łuny pożarów na widnokręgu. Młodzież zrzeszała się w organizacje i stawiała opór okupantowi jedni przenikali w struktury reżimu to znaczy jak już wcześniej wspominałam służyli w policji ukraińskiej inni po prostu pracowali jak grupa młodych ludzi w koszarach wojskowych jako sprzątaczkę lub do prac porządkowych. Niemcy chcieli bezwzględnie złamać ludzi psychicznie i fizycznie w tym celu stosowali różne metody jedną z nich były publiczne egzekucje złapanych partyzantów w tym celu spędzano na rynek ludność i kazano im się przyglądać egzekucji, pamiętam jedna z nich odbyła się na rynku postawiono dużą szubienicę pod którą mógł wjechać samochód ciężarowy a na platformie samochodu pięcioro młodych ludzi 2 dziewczyny i 3 chłopaków zegnano z miasteczka wszystkich mieszkańców aby oglądali egzekucję, młodzi ludzie mieli powiązane ręce z tyłu jednej z dziewczyn podwinęła się spódnica to druga związanymi rękoma starała się jej poprawić. Ludzie modlili się i płakali ale musieli to oglądać a Niemcy śmiali się i robili zdjęcia po egzekucji ciała wisiały jeszcze trzy dni i były pilnowane dzień i noc przez żandarmów po trzech dniach zdjęto je i wywieziono w niewiadomym kierunku. Niemcy robi to w celu złamania oporu wśród ludności ale to tylko potęgowało nienawiść do okupanta i wzmoczone akcje przeciwko niemu. W moim opowiadaniu muszę opisać epizod z życia mojej starszej siostry Marysi, była to bardzo przebojowa i wysportowana dziewczyna a moi rodzice mieli kłopoty z wychowaniem takiej córki. W szkole nie ustąpiła żadnemu chłopakowi który jej wszedł w drogę, jak przyszła zima to ona nie na sankach zjeżdżała ale na tornistrze i jak było do przewidzenia tato kupował jej nowy tornister bo żaden nie wytrzymał nawet miesiąca wreszcie tato zbił jej tornister wzmocniony sklejką. Do szkoły wszystkie dzieci chodziły normalnie ulicami choć było daleko a moja siostra oczywiście skracała sobie drogę poprzez jazdę na łyżwach wzdłuż rzeki bo my mieszkaliśmy na jednym końcu miasta nad rzeką a szkoła znajdowała się na drugim końcu miasta też nad tą samą rzeką więc Marysia wymyśliła dojazd do szkoły na łyżwach wzdłuż rzeki. Ojciec zabronił Marysi tak dojeżdżać do szkoły tłumacząc jej że lód może się załamać lub wpadnie w jakąś przerębę i się utopi ale ona robiła swoje. Draki z chłopakami były na porządku dziennym to Żydziki jej z czymś tam podpadli to znów Niemczaki coś tam powiedzieli a ona nie pozostawała dłużna i draka gotowa. Najbardziej to nie lubiła się z jednym Niemcem o imieniu Helmut który ciągle jej dokuczał pewnego razu oboje znaleźli scyzoryk i tak długo się o niego bili aż Marysia

wygrała oczywiście Helmut powiedział że tego jej nie daruje i się zemści. W niedługim czasie przypilnował ją na rzece wepchnął ją do przerębła i odjechał na łyżwach, Marysia dość długo utrzymywała się na powierzchni ale wydostać się nie potrafiła gdyż lód był śliski i ktoś a otwór mały aby się wydostać samemu ktoś z dorosłych przechodząc obok pomógł jej wydostać się z przerębli, przyszła do domu cała zmarznięta prawie na kość oczywiście ojciec nie puścił jej tego płazem bo uprzedzał że tak się może zdarzyć więc Marysia dostała lanie. Następnego dnia Marysia po przyjeździe do szkoły tak długo czatowała na Helmuta aż go dopadła przy poidelku (były takie na korytarzu nad zlewem znajdowała się rączka którą po naciśnięciu wypływała woda i można było się napić) zaszła go od tyłu i uderzyła go w tył głowy i w tym momencie poidelko wbiło się jemu w usta a wszystkie zęby przednie zostały wybite, zaraz zrobił się szum, krzyk zbiegli się nauczyciele i dzieciaki a Marysia złapała tornister i zamknęła się w toalecie. Następnie aby jej nie złapano wyskoczyła oknem z wysokiego parteru i uciekła, Marysia miała swoją kryjówkę na strychu jak coś przeszkrobała to chowała się na górę i w tym dniu też się tam schowała. Po południu przyszedł do nas ojciec Helmuta wraz z okaleczonym synem i pokazuje ojcu że syn nie ma zębów i że trzeba będzie je wstawić a koszty będzie pokrywał nasz tato. Ojciec jak to zobaczył pyta się gdzie Marysia a ja mówię że na strychu to ją przyprowadzicie poszłam po nią jak Marysia przyszła tato zapytał się czy to ona zrobiła a Marysia przytaknęła i powiedziała że jak go spotka przy poidelku to jeszcze raz to zrobi. Pytają się jej ojcowie dlaczego więc Marysia opowiedziała im o znalezionym scyzoryku i o tym, że Helmut powiedział, że za niego się zemści oraz powiedziała że on ją wepchnął do przerębła i odjechał sobie. Mój tato powiedział, wybite zęby można wstawić ale jak się kogoś wpycha do przerębła to jest to zwykle morderstwo a ojciec Helmuta pyta się czy to prawda a Helmut potwierdził wersję Marysi więc ojcowie załatwili sprawę polubownie robiąc na miejscu użytek ze swoich pasków. W 1939 roku jak Niemcy wkroczyli do Kobrynia to wszystkich zamieszkałych Niemców przesiedlono do Rajchu i wieści o Helmutcie nie było, aż do roku 1942 gdzie został przeniesiony z powrotem do Kobrynia ale już jako młody oficer SS znający język polski i rosyjski. Pewnego razu przyszedł do nas w mundurze SS-mana w czapce z trupa główką mama przerażona zaczęła go częstować herbatą a on się pyta czy jest Marysia mama mówi, że nie ma gdyż jest w pracy a on na to, że poczeka. Marysia jak wróciła z pracy pyta się mamy co on tutaj robi a ona odpowiedziała że chciał cię odwiedzić. Marysia nie wiele myśląc powiedziała do niego żeby się wynosił z naszego domu bo nie chce go widzieć i nie chce aby ją posądzano o sympatyzowanie z Niemcami a szczególnie z SS-manami. Helmut powiedział jej że przyszedł do niej pochwalić się i pokazać jej jakie to sobie wstawił zęby, rzeczywiście były piękne bo złote a Marysia zapytała się jego ilu Żydom te zęby wyrwał a on się jej zapytał czy wie co mówi bo za taką mowę może iść tam gdzie jeszcze nie była, nasza Marysia jak się zaperzyła to nie przebierała w słowach i powiedziała jeszcze że może ją zastrzelić a ona i tak wie swoje, trzasnęła drzwiami i poszła z domu do którejś ze swoich koleżanek wcale nie wracając na noc. Helmut posiedział jeszcze trochę w domu i powiedział do mamy że teraz nie zrobiłby jej krzywdy bo ona podobała mu się zawsze ale nie umiał tego pokazać a teraz on ją kocha. W młodości Marysia była bardzo ładną dziewczyną ale z charakterem i to się Helmutowi podobało przychodził do nas jeszcze kilka razy ale nigdy nie zastał Marysi gdyż ona nie przychodziła do domu jak on był tylko nocowała u koleżanek. Niedługo potem przeniesiono jego na front wschodni pisał do niej listy z frontu ale ona je paliła nie czytając ich wcale po jakimś czasie listy przestały przychodzić i więcej o nim nie usłyszeliśmy. Okres wojenny jaki przeżyliśmy do 1944 roku był okresem strasznym i momentami gorącym ale dzięki Bogu nikt nie zginął i nikogo z rodziny nie wywieziono nigdzie. Lato 1944 roku było piękne, zboża dojrzały i zaczęły się ruchy wojsk niemieckich na zachód bo Rosjanie wspomagani przez Aliantów w broń i zaopatrzenie a przy ich boku Armia Polska nacierali na nich i dawali im łupnia aż miło było patrzeć. W dniu, kiedy front przechodził przez nasze miasto były duże bombardowania i nawała ogniowa więc ojciec zdecydował ażeby uciekać do lasu lub gdzieś na wieś. Szliśmy łąkami i przez mokradła aż dotarliśmy do lasu tutaj mama zdecydowała dać nam trochę odpoczynku przed dalszą drogą mama zaczęła się martwić o tatę gdyż on sam został w domu więc wysłała Marysię a my we trzy zostałyśmy w lesie czekając na powrót ojca z Marysią czekałyśmy około dwóch godzin siedząc w tym lesie a mama zaczęła płakać i mówi że nie ma Marysi ani ojca może coś się stało więc powiedziała do mnie żebym wzięła młodsze rodzeństwo i poszła do wsi poszukała schronienia może ktoś nam je da a ona pójdzie ich szukać. Małe płakały jak szliśmy przez las bo były głodne i się bały, wyszliśmy z lasu i szliśmy przez żyto do wsi w brudzie natknęliśmy się na duży toból, coś było zawiązane w dużą płachtę oraz prześcieradło zaczęłam rozwiązywać tobolek aby zobaczyć co jest w środku po rozwiązaniu okazało się że jest tam kielbasa obsuszona i bardzo dobra. Wzięłam po jednym pętku dla nas i po jednym dla rodziców i Marysi a resztę z powrotem zawiązałam, te trzy pęta dla pozostałej rodziny zawiązałam w chusteczkę którą zdjęłam z głowy i poszliśmy dalej. Do gospodarzy nie poszłam gdyż bałam się że nam zabiorą tą kielbasę, usiadliśmy za stodołą i kazałam moim siostrą jeść wychodząc z założenia że to co w żołądku to nasze i nikt nam tego nie odbierze małe przestały płakać bo były najedzone. Siedząc tak za stodołą widzę jak drogą koło żyta od lasu idzie uzbrojony Niemiec sam, ale zaczęłam się bać o siebie i o siostry czy nam nie zrobi krzywdy w pewnym

momencie padł strzał i Niemiec padł na drogę trafiony kulą partyzanckiego strzelca wyborowego. Byłam tym faktem zdziwiona że jak myśmy szli do nas nikt nie strzelał a jak się Niemiec pokazał to jeden strzał i on leżał nieżywy, po tym zajściu zaczęłyśmy uciekać z za tej stodoły drogą przez wieś nie zachodząc do nikogo. Na rozstajnej drodze stał duży drewniany krzyż ogrodzony płotkiem, weszłyśmy za to ogrodzenie małą furteczką i przytuliłyśmy się do siebie u stóp tego krzyża. siedziałyśmy tam może godzinę moje młodsze rodzeństwo pospało się przytulone do siebie a ja czuwałam nad nimi. Po upływie jakiegoś czasu słyszę, że nas mama woła : Zosia, Stasia Jasia i nie za długo zobaczyłyśmy, że idą wszyscy tj. tato, mama i najstarsza siostra Marysia. Cieszyliśmy się, że jesteśmy wszyscy razem cali i żywi. Mama mówi że pewnie jesteście głodne, a ja nic dla was nie mam a ja odpowiedziałam że ja mam dla nich jedzenie i wyciągnęłam z chustki zawiniętą kielbasę i powiedziałam, że młodsze już jadły. Rodzice byli zdziwieni skąd ja to mam więc opowiedziałam że znalazłam tobolek z kielbasą w zbożu, mama chciała wrócić po ten tobolek ale tato jej nie pozwolił i dodał że to nie jest nasze jak ktoś schował to na czarną godzinę a my się tylko poczęstowaliśmy i to wystarczy. A ja jeszcze dodałam że tam na drodze leży zabity Niemiec i że tam strzelają partyzanci. Tata zabrał nas do znajomego gospodarza a ten posłał nam w stodole słomę na klepisku wszyscy byliśmy tak zmęczeni że od razu usnęliśmy i nie czuliśmy nawet tego że powyciągano z pod nas całą słomę i nie słyszeliśmy że stodoła zapełniła się ludźmi, którzy uciekli z miasta w obawie przed uciekającymi Niemcami. Rano gospodarz odwiózł nas swoją furmanką do domu bo front przesunął się dalej na zachód. Szły wojska na zachód drogami ścieżkami poruszali się na wozach konnych, pociągami, pieszo jak kto mógł i potrafił kuchnia nie nadążała poruszać się za wojskiem. Następnego dnia jak wróciliśmy do domu to mama poszła do miasta żeby coś przynieść do domu, gdyż ludzie rozbijali niemieckie sklepy i magazyny i wyносили co się dało ja w tym czasie pilnowałam moje młodsze rodzeństwo, ale byłam ciekawa jak wojsko porusza się na zachód i chciałam popatrzeć na żołnierzy i nie dopilnowałam moich siostr, które pozostały same w domu, a ścieżką od domu do domu szli żołnierze i prosili o coś do jedzenia. Nie kradli tylko prosili, weszli do domu i zapytali się czy nie ma czegoś do jedzenia a moje młodsze siostry powiedziały, że chleba nie ma ale są suchary, które mama nasuszyła i wyciągnęły kufeczek na podwórko i wszystko rozdały żołnierzom. Jak ja przybiegłam do domu to było już za późno widzę pusty kuferek i pytam się co się stało a one odpowiedziały że przyszli żołnierze i pytali się o chleb a one dały suchary zamiast chleba. Po jakimś czasie wróciła mama z miasta i dopiero wtedy była awantura i pasek poszedł w ruch. Ja uciekłam i schowałam się w malinach które rosły za domem i tam siedziałam. W tym czasie na bocznicy wjechał pociąg z wojskiem i czekał aż przejadą pociągi z zachodu z rannymi. Trwało to długo więc żołnierze oczekujący wychodzili z wagonów i chodzili po okolicy a ponieważ nasz dom stał niedaleko torów to i żołnierze chodzili koło naszego domu. W tym czasie jak ja siedziałam w malinach po naszym sadzie chodził żołnierz w średnim wieku, niewysoki i dość tęgawy zajrzał za dom i zobaczył mnie w malinach przykucnął i pyta się co te dzieci tak krzyczą a ja ruszyłam ramionami bo co miałam mówić, mama pomstowała i lamentowała, że poumieramy z głodu a moje siostry płakały. Żołnierz wszedł do domu bo cały czas niepokoili go te lamenty dzieci i naszej mamy, zapytał co się stało oczywiście po rosyjsku mama zaczęła mu tłumaczyć, że nie ma chleba bo dzieci oddały go żołnierzom i teraz przyjdzie im umrzeć. Żołnierz zrozumiał z tego chaotycznego tłumaczenia trochę po polsku trochę po rusku, że dzieci umierają z głodu bo nie ma chleba, on załamał ręce i powiedział „mamasza nie bojsia nie pomierut z gołoda ja siej czas priniesu szto ni but” (co tłumaczy się tak mammo nie bój się nie poumierają z głodu bo ja przyniosę zaraz co nie bądź). Mama skwitowała to do siebie że jak nie weźmie to nie przyniesie i wcale nie liczyła na jego pomoc. Ja nadal siedziałam w malinach i bałam się wrócić do domu minęło może pół godziny patrzę a tu drogą idzie ten sam żołnierz który był u nas i dźwiga ogromny wór do samych pięt, wniósł go do domu ogromnie spocony otarł twarz i powiedział, że „dieti nie pomierut z gołoda ja poszoł po całom eszelonie i szto nibut kto imieł to dał i ja kwam eto priniosł”. Mama dziękowała bardzo bo nie myślała że ten żołnierz w ogóle coś przyniesie. A w worku było wszystko i chleb i suchary konserwy mięsne a także mleko w proszku po prostu suchy prowiant taki jaki żołnierz dostawał udając się na front było nawet kakao i czekolada. Było tego naprawdę bardzo dużo i mieliśmy spory zapas żywności, mama nie miała czym odplacić się żołnierzowi więc poczęstowała go mlekiem w takim sporym litrowym garnku początkowo nie chciał gdyż mówił że to dla dzieci ale jak mama powiedziała że jest i dla dzieci to wypił i podziękował i poszedł do swoich. Niedługo potem transport odjechał a nasza rodzina miała co jeść przez długi czas a siostry były dumne że choć dostały lanie to dzięki nim mamy co jeść. Pamiętam jeszcze jedno zdarzenie związane z żołnierzami że do wojska brani byli różni mężczyźni, dobrzy i skazańcy z więzień. Tym drugim dano po prostu szansę rehabilitacji że w czasie boju jak zginą to trudno a jak przeżyją to zostaną im puszczane w niepamięć ich grzechy. Pewnego razu do naszego domu wtargnął właśnie taki bandzior ale zanim trafił do nas poszedł do p. Janiszewskich tam zastawszy Antka tego samego który swego czasu ukrywał się u nas i później poszedł do partyzantki a teraz jego oddział pełnił rolę milicji czyli pilnowania porządku w mieście, bandzior zaczął się awanturować a że był pijany to dostał kopniaka i wygnano go z domu. Po wyrzuceniu go z domu bandzior szukał zemsty na kimś a najlepiej na Polakach bo od nich doznał

upokorzenia. Następną chałupą była nasza my w tym czasie szykowaliśmy się do snu i światła były już pogaszone naraz ktoś wtargnął do naszego domu, tata zauważył że to żołnierz w przebraniu miał na sobie białą wełnianą siermięgę. Pierwszym pytaniem było jaka narodowość tato odpowiedział, że Polacy a on na to, że „wybiju wsiech” (tzn. pozabija wszystkich). Bandyta nakazał ojcu zapalić światło ale ojciec nie mógł znaleźć zapalek a w tej ciemności wywiązała się szamotanina pomiędzy moim tatą a nim na ten moment z łóżka wyskoczyła najstarsza siostra Marysia i chciała pomóc naszemu ojcu ale bandyta złapał ją za koszulę i ją rozdarł do dołu my zaczęłyśmy krzyczeć mama nasza płakała a ojciec po ciemku szukał czegoś czym mógłby obezwładnić napastnika ale nie mógł nic znaleźć gdyż siostra posprzątała wszystko po kolacji. W pewnym momencie młodsza siostra Stenia rzuciła się do ucieczki pomiędzy jego rozkraczonymi nogami i wybiegła z domu na podwórko on za nią zaczął do niej strzelać z pistoletu ale że był pijany to trudno było trafić a po za tym Stenia biegła zygzakiem. Mama nasza wybiegła za nią na podwórze chcąc bronić swojego dziecka a nasz tato wołał o pomoc, w tym czasie na boczny stał pociąg z transportem wojska idącym na front żołnierze słysząc strzelaninę zaczęli biec w stronę skąd dobiegały odgłosy strzałów. Bandyta zaś walczył z naszą mamą, przewrócił ją na ziemię i przykładając pistolet do jej głowy strzelał mama nasza za każdym razem podbijała jego dłoń i kule jakimś cudem omijały jej głowę. W taki oto sposób napastnik wystrzelał cały magazynek i z wściekłości że nic nie wskórał uderzył mamę pistoletem w głowę powyżej czoła mama straciła przytomność a on zaczął uciekać w pole. Żołnierze którzy przybyli nam z pomocą część z nich zajęła się ranną moją mamą a część z nich ruszyła w pogoń za bandytą, wniesiono mamę do domu i zaczęto ją cucić bo nie wiadomo czy żyje czy tylko straciła przytomność w tym czasie złapano bandziora i następnego dnia postawiono przed sądem wojskowym, okazał się nim Ukrainiec służący w radzieckiej armii nie znany nam był wyrok sądu polowego ale Antek powiedział, że wcielono go do karnej kompanii i wysłano go na front na pierwszą linię. W tym samym czasie co odbywał się sąd ojciec zawiózł naszą mamę do lekarza w celu określenia jej obrażeń lekarz oprócz dużego guza na głowie nic niepokojącego nie stwierdził, ale mamie po tym zdarzeniu pozostał uraz psychiczny, że znów nas ktoś napadnie i wtedy nikt nas nie obroni, więc w porozumieniu z ojcem poszła do dowódcy najbliższej jednostki porozmawiać o tym żeby on przydzielił jakiegoś żołnierza na kwaterę, który służy w tej jednostce. Przydzielono nam oficera lotnictwa z niedaleko położonego lotniska, był to pilot który latał nad Niemcy w eskadrze bombowców nazywał się Iwan Iwanowicz Iwanow (taki polski Kowalski). Następnego dnia przyszedł zameldował się i powiada, że przysłano go do ochrony naszej rodziny. Rosjanin ten okazał się bardzo przemyślnym młodym człowiekiem i bardzo szybko zadomowił się u nas, przyniósł ze sobą prowiant i dał go mamie aby coś przygotowała do jedzenia wszystkim i on też z nami zje z ochotą. U nas w domu przy stole jedli dorośli zaś dzieci miały długą ławę a dookoła ustawione były stołki i tak jadały. Mama dla Waniuszki postawiła talerz na stole nakryła także dla Marysi ojca oraz dla siebie, ale Waniuszka usiadł razem z nami przy ławie i powiedział że on będzie jadł z dziećmi bo chce choć raz w życiu poczuć się jak dziecko w rodzinie. Okazało się że Wania wychowywał się w domu dziecka gdyż był sierotą, po obiedzie opowiedział nam swoją historię dzieciństwa pochodził z rodziny mieszanej mama jego była Polką a ojciec wysokim urzędnikiem carskim, po rewolucji Bolszewicy robili czystki i ten kto służył carowi był wrogiem klasowym i takich w szybkich procesach skazywano na śmierć, i tak też było z ojcem Wani a mama jego zmarła bez ratunku jako żona (wroga klasowego) a jego jako dziecko zabrano do domu dziecka i tak Waniuszka wychowywał się bez rodziców. Mówić po polsku nie umiał ale polską mowę trochę rozumiał, tylko pacierz „Ojcie Nasz” umiał mówić po polsku. Polubiliśmy go bardzo gdyż był miły z moimi siostrami bawił się całymi godzinami, dbał o naszą mamę robił jej okłady gdyż po tym napadzie miewała często bóle głowy gdyż okazało się, że nasza mama miała wstrząs mózgu to wtedy zasłaniał okna żeby światło nie raziło pomagał położyć się jej i robił zimne okłady a dzieci zabierał do ogrodu i bawił się z nimi żeby nie przeszkadzały mamie. Jak wracał z lotów to zaraz przychodził do domu i czuł się jak w rodzinie, był bardzo lubiany przez nas wszystkich do dziś nazywamy go naszym Waniuszką. Pamiętam jeszcze z jego osobą inne fakty, między innymi nasza Marysia była bardzo śmiała i odważna dziewczyna i było z nią wiele kłopotów bo wieczorami lubiła chodzić do koleżanek do miasta i nie zważając na to że w mieście jest dużo żołnierzy i do tego często pijanych i o przykrą przygodę nie trudno i z tego powodu mama nasza często popłakiwała gdyż bała się o nią. Wania w takich chwilach mówił „mamasza nie boj sia ja pajdu i priviedu Marusiu” (mamo nie bój się ja pójdę i przyprowadzę Marysię), brał nieraz pelerynę bo padało do boku przypasywał broń i szedł do miasta nie był natrętny aby narzucać się swoim towarzystwem lecz obserwując z odległości czuwał nad jej bezpieczeństwem. Kiedy Marysia wracała do domu niedługo też wracał i Wania odpinał broń wieszal pelerynę jeżeli ją zabierał ze sobą i siadał przy piecu aby się rozgrzać. Było nam z nim bardzo bezpiecznie i miło bo był jak rodzony brat. Mieszkał z nami kilka miesięcy do chwili aż dostał rozkaz przeniesienia bliżej frontu, ciężko było nam się z nim rozstać ale cóż taki był los żołnierzy podczas pożegnania popłakaliśmy się wszyscy a on odchodząc powiedział że jak będzie przelatował nad naszym domem to pożegna nas kolorowymi ogniami. Jak samoloty zaczęły startować to my za każdym razem wybiegałyśmy przed dom i patrzyłyśmy czy to nie leci nasz Wania. Najpierw odleciały samoloty lekkie

dopiero później ciężkie te do bombardowań więc my znów zaczęliśmy obserwować aby nie przeoczyć jego odlotu, nagle w oddali patrzymy są puszczane kolorowe ognie bliżej lotniska sądziliśmy że się pomylił ale jak się później okazało to nie była pomyłka tylko Waniuszka tak pożegnał moje młodsze siostry które akurat w tym czasie wracały do domu. Oczywiście przelatując nad naszym domem też puścił kolorowe ognie. Kiedy wróciły Stenia i Janeczka to zaczęły opowiadać jak to i ich pożegnał Wania i były z tego bardzo dumne że ich wypatrzył z tak wysoka i rozpoznał i że im też puszczał kolorowe ognie. I tak odleciał nasz przyjaciel na front i więcej go nie widzieliśmy i nie znany jest dalszy jego los. Tak minęło lato nadeszła ostatnia jesień naszego pobytu w Kobryniu a był to już rok 1944 Niemcy dostawali na całym froncie lupnia a Sowici wdrażali kolejne plany 5-letnie tzn. nowe budowy, elektryfikacje oraz dalszy ciąg budowy kanału Dniepro-Buskiego i w tym celu zaganiali ludzi do wyrębu lasów na opał do parowozów, które to ciągnęły w jedną stronę wojsko na front a z powrotem rannych w głąb Rosji. Na początku grudnia tato nasz otrzymał wezwanie do stawienia się przy wyrębie lasu, ale był bardzo chory bo miał zapalenie płuc którego nabawił się przy kopaniu kanału i nie było mowy o tym aby mógł jechać bo to mogło by się skończyć tragicznie dla naszego taty a władzy nie interesowało czy ktoś jest chory czy nie, musi jechać i koniec. Moja starsza siostra Marysia postanowiła że to ona pojedzie zamiast taty jadąc do takiej pracy trzeba było zabrać odpowiednie ubranie, jedzenie, oraz zapas paszy dla konia którego Sowici zarekwirowali od starszego człowieka który nie mógł jechać na roboty Marysi przydzielono do pomocy młoda dziewczynę o imieniu Irena. Ile można zabrać tego jedzenia? Najwyżej na miesiąc, ale to już władzy nie interesowało co oni później będą jedli interesowały ich tylko postępy robót przy wyrębie. Robota była ciężka od świtu do zmierzchu o chlebie i wodzie pod warunkiem że ten chleb był, mieszkali w chacie białoruskiego wieśniaka, który palił w piecu tylko w południe a wieczorem mieszkający w izbie siadali na piecu i grzali się oraz spali. Ludzie pracujący którzy mieszkali u tego gospodarza spali na podłodze pod ścianą razem ze zmarzniętymi ziemniakami które po rozmrożeniu zaczęły gnić i w izbie zaczęło śmierdzieć. Gospodarz pozwolił te ziemniaki zjeść więc moja siostra wymyśliła takie posiłki żeby jak najmniej z tych ziemniaków się nie zmarnowało to jedna osoba je obierała, druga tarła a trzecia wyciskała i robiono z nich kluski ziemniaczane okraszone olejem lnianym, co to był a rarytas bo nic innego nie było do jedzenia. Po wyczerpującym dniu pracy przy pilowaniu drewna jak się posilili to każdy tylko marzył o śnie i zaraz usypiali. Pewnego razu Marysia zorganizowała sobie trochę słomy pod plecy ale jak rano się obudziła to leżała na gołej podłodze bo całą słomę wyciągnięto z pod niej a ona nic nie czuła tak była zmęczona. Nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia i tak jak zwykle były kluski ze zmarzniętych ziemniaków, które sobie przygotowali na wigilijną wieczerzę, Marysia postarała się o opłatek po który poszła wiele kilometrów do polskiej rodziny, dała jej kawałek i tym kawałkiem podzieliła się z pozostałymi, taka to była smutna i opłakana Wigilia z dala od domu. Minął Nowy Rok i powoli zaczął głód zaglądać w oczy ponieważ ziemniaki się skończyły i brakowało paszy dla konia więc dziewczyny postanowiły uciekać, wybrały porę nocną gdyż w dzień to daleko by nie zjechały i mogły być złapane. Wyszły z domu około godziny 21.00 jak wszyscy się pospali po cichu wypchnęły wóz później wyprowadziły konia i przez nikogo nie zauważone odjechały a że pola były zawiane śniegiem i nie było widać drogi więc poruszały się polem przy miedzy, jedna z nich jechała na wozie druga prowadziła konia bo jadąc polem można było zabłądzić i kręcić się dookoła. Na domiar jak by tego było mało, że noc, zima, koń osłabiony to jeszcze zaczął psuć się wóz, początkowo wypadł jeden ze szczebli, potem koło zaczęło wypadać więc co rusz mocowały to koło i prowizorycznie naprawiły szczeble żeby do reszty się nie rozsypały. Okolica też nie była przyjazna gdyż dookoła las i pola oraz wilki więc jak się to mówi duszę miały na ramieniu podczas tej ucieczki. Opatrzność boża czuwała nad nimi, gdyż po drodze natknęły się na nie zwiezioną późną jesienią kopkę siana postanowiły nakarmić nim konia bo prawie padał z głodu, zabrały także na zapas i tak dojechały do jakiejś drogi i tą drogą poruszały się dalej. Na następnym postoju zobaczyły, że droga wiedzie z Maoryty do Kobrynia i wtedy wiedziały, że jadą w właściwą stronę podczas jazdy tą drogą koło rozwalilo się do reszty i dziewczyny nie wiedziały co robić dalej, ale nie poddały się. W oddali z drogi widać było światło moja siostra Marysia powiedziała, że trzeba iść do ludzi to może pomogą, zaś koleżanka Irena powiedziała, że to mogą być bandyci którzy się ukrywają w lesie bo w tym czasie to różnych ludzi można było spotkać. W tych okolicznościach Marysia zdecydowała, że pójdzie sama i w razie czego sprowadzi pomoc, jak zdecydowała tak zrobiła poszła przez te śniegi w stronę światelka po pewnym czasie doszła do chaty gdzie świeciło się światło. Za nią do gospodarstwa przyjechał jakiś mężczyzna na koniu i pyta się kogo szuka jednocześnie prosząc ją aby weszła do chaty gdyż na dworze jest zimno i pewnie jest głodna a w domu żona jego gotuje zacierki to się posili. Okazało się że był to gospodarz tego domostwa. Marysia opowiedziała o wszystkim jemu że wóz im się zepsuł i że koleżanka czeka na nią pod lasem, gospodarz wziął narzędzia oraz do pomocy swojego 16-letniego syna i pojechali naprawić wóz, naprawa polegała na zdjęciu koła wycięciu dość sporej brzoźki obciosaniu jej oraz podłożeniu pod oś wozu umocowaniu jej tak aby brzoźka spełniała rolę koła. W ten sposób dziewczyny dojechały do rogatek miasta, tam ktoś im poradził żeby wpasowały się swoim wozem w kolumnę wozów wiozących dostawy bo na moście jest kontrola i może ich nie przepuścić bez przepustki. W ten

sposób dziewczyny przejechały most i były już po naszej stronie rzeki, najpierw pojechały do właściciela konia żeby mu go oddać ucieszył się bardzo na ten widok bo nie sądził, że zobaczy swojego konia jeszcze żywego zaś koło zrobione prowizorycznie z brzoźki zdarło się. Marysia i Irena dotarły do domu nad ranem bardzo wyczerpane i zmarznięte do granic ludzkich wytrzymałości. Tato pozwolił Marysi się przespać w domu i wieczorem wywiózł moją siostrę do swoich przyjaciół na wieś gdyż czuł że NKWD będzie jej szukało w domu. Oczywiście Rosjanie nie odpuścili i jeszcze przez jakiś czas nachodzili nasz dom w nocy i w dzień szukając Marysi. Polska wschodnia była już wyzwolona i powstał rząd polski PKWN w Chełmie i zaczęły działać urzędy repatriacyjne. Nasze miasto Kobryń podlegało pod urząd w Brześciu, ktoś doradził mojemu tacie aby pojechał do urzędu repatriacyjnego i zapisał się na wyjazd do Polski w ten sposób uniknie prześladowania ze strony Rosjan w związku z ucieczką jego córki z przymusowych robót gdyż on i jego rodzina byłby obywatelami polskimi i moglibyśmy spokojnie oczekiwać wyjazdu do Polski A co za tą decyzją idzie Marysia mogłaby wrócić do domu i nie groził by jej żaden wywóz na Sybir za ucieczkę z robót przymusowych. Na takich robotach nikogo nie obchodziło że ludzie nie mają co jeść i śpią w gorszych warunkach niż zwierzęta lub w ogóle nie mają gdzie mieszkać i po prostu nie mają żadnego prawa „mają jedno prawo do ciężkiej i wyczerpującej pracy”. W związku z tym że tata zapisał się w Brześciu, nasza rodzina miała karty repatriacyjne z numerem 1. Z Kobrynia wyjeżdżaliśmy w styczniu 1945 roku zaraz za poruszającym się frontem a styczeń tego roku był bardzo mroźny a podróż odbywaliśmy w wagonach towarowych nie ogrzewanych więc nasz tato załatwił nie wiem skąd piecyk żelazny zwany kozą więc można było trochę napalić i się ogrzać. Za dużo rzeczy zabrać nie mogliśmy po prostu najpotrzebniejszy sprzęt, pościel, trochę żywności i paszę dla krowy którą udało nam się uchronić. Przejechaliśmy granicę w Brześciu i dowieziono nas do miejscowości Biała Podlaska, tam staliśmy kilka dni. Pierwszej nocy jak nas odstawiono na bocznicy przysłała do nas kobieta mieszkająca naprzeciwko dworca i jak zobaczyła że takie małe dzieci siedzą i marzną w wagonie to zaprosiła nas do swojego domu. Mieszkanie nie było duże, ale ludzie tam mieszkający mieli ogromne serce i potrafili współczuć innym. Posłali nam słomy na podłogę, napalili w piecu także mogliśmy się ogrzać i poczęstowali gorącym posiłkiem po prostu podzielili się tym czym mogli do dziś mam o ludziach z Białej Podlaskiej jak najlepsze mniemanie i wiem, że to prawdziwi ludzie, którzy w chwili potrzeby pomogą potrzebującym. Po kilku dniach pobytu na bocznicy postanowiono nas odesłać na punkt repatriacyjny w Janowie Podlaskim mieszczącym się około 20 kilometrów od Białej Podlaski.